

no. 2880

SZKIC

TOWARZYSKIEGO ŻYCIA

Miasta Warszawy

Z DRUGIEJ POŁOWY XIX. STULECIA

przez

L. P.

Ł. P. Łaboński

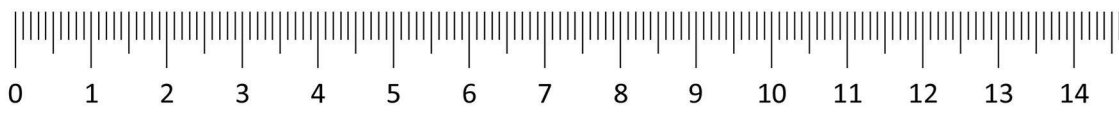


dblt do 31458

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1854.



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU

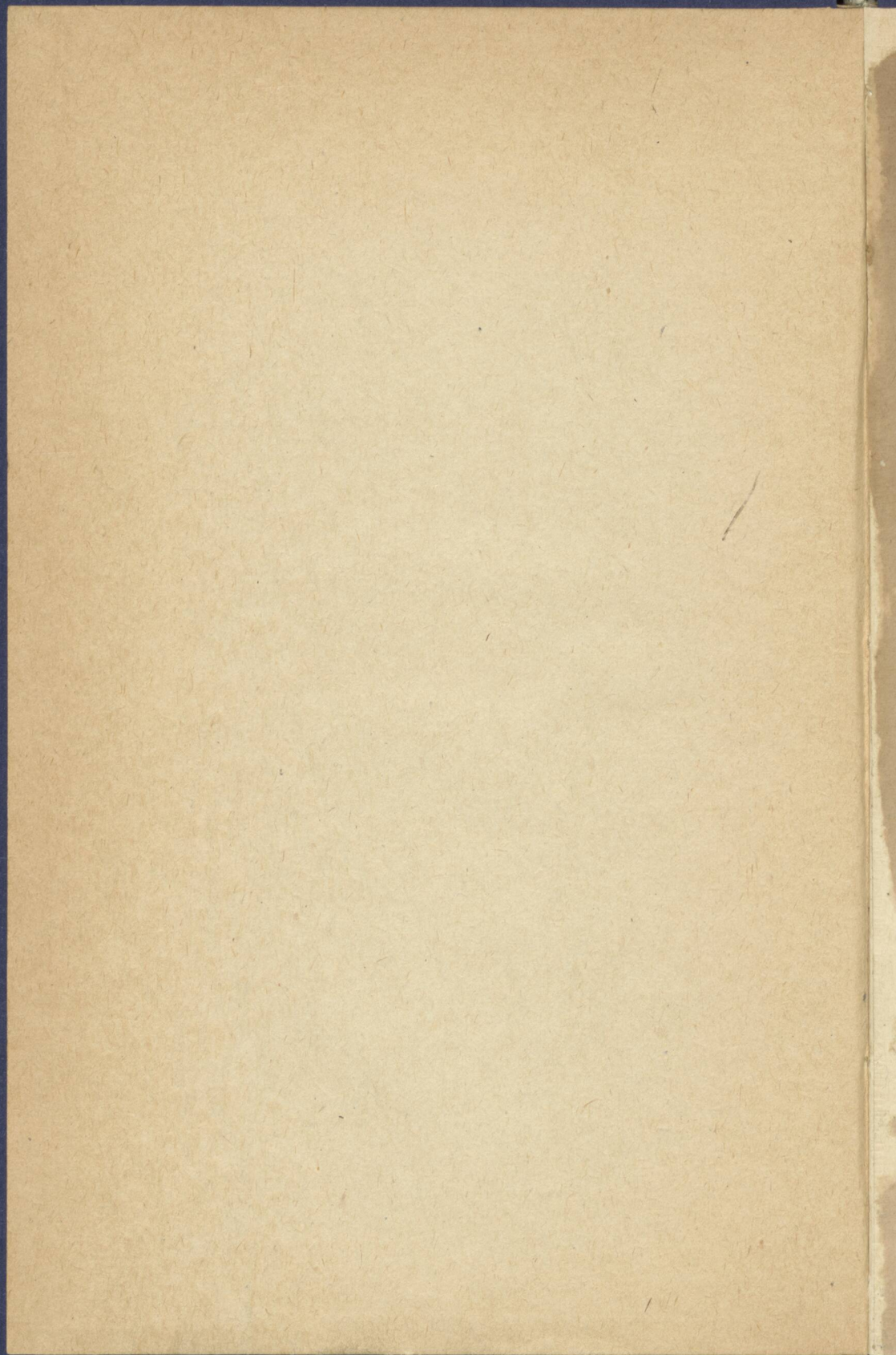


II
179916

Wypożycza się
tylko do czytelni



2002 LIS. 20



SZKIC

TOWARZYSKIEGO ŻYCIA MIASTA WARSZAWY.

IV/3515

© 1912

TOWARZYSTWO ZYCIA MIĘDZA WARSZAWĄ

no 2880

SZKIC

TOWARZYSKIEGO ŻYCIA

Miasta Warszawy

Z DRUGIEJ POŁOWY XIX. STULECIA

przez ^{coll.} L. P. [L. P. Łobocki]



dblt do 31458

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1854.

SKIC

TOWARZYSTWA

Wieloletni

W DROGIE

1937. W. 1339.



Poznań czcionkami W. Deckera i Spółki.

1937. W. 1339.



Coś nakształt Przedmowy.

Do Pani

Razu pewnego rzekłaś Pani do mnie: „Czemu Pan nie piszesz?“ „Cóż mam pisać?“ „Napisz, ale nie o tém co dawniej było, bo to stare dzieje, nie o tém co będzie, gdyż odsłaniać przyszłość, jestto przepowiadać, a każda przepowiednia najczęściej wybujałej wyobraźni wynikiem; pisz więc co teraz jest, co ciebie otacza, co własnymi oczami widzisz.“

Dopełniając, Pani, Twojej woli, wziąłem pióro w rękę i nakreśliłem: *Szkic towarzyskiego życia miasta Warszawy z drugiej połowy XIX. stulecia*. Nie szukaj w niém powieści, lecz znajdziesz jak sama chciałaś, najakuratniejszy, o ile mogłem, zarys tego com widział. W powieści przedewszystkiém idzie osnowa, potrzeba ją rozwinąć naturalnie, poprowadzić zwięździe, wzbudzić zajęcie i utrzymać je nieprzerwanie

aż do rozwiązania samego. W powieści cel powinien być moralny, a dążnością poprawa złego, do czego użyć można dowcipnego wyśmiania lub zasłużonej kary. W powieści charaktery powinny być wydatne, nie przesadzone i różniące się między sobą.

Szkicu mojego wątkiem niebezpieczeństwo, na jakie wystawione być może szczęście domowe; otoczone kadzidłem pochlebstwa, uludą zabawy wśród wiru i szalu wielkiego świata; celem zaś, opisanie tegoczesnych obyczajów i zwyczajów miasta Warszawy. Tam znajdziesz modny salon, modny i uczony wieczór; tam z wielkanocną kwestą wejdiesz do każdego domu, zajrzysz do wnętrza życia każdej klasy mieszkańców wielkiego miasta. Na welniany jarmark sprowadzasz z głębi kraju obywateli wieśniaków, a jeżeli w nich znajdujesz czasami jakie uchybienie w kroju sukni, w zagięciu kapelusza, jakąś niezgrabność, w skrępowanych ruchach nowomodnym, przyciasnym surdudem, pewną niearystokratyczność w ogorzalęj twarzy, w źle utrzymanych rękach, nie znających prawie rękawiczek, chyba w wielkie mrozy; jakże przy nich stracą w oczach twoich owe miejskie próżniaki, z wymokłą cerą, z okiem zagasłym, z ziewającymi ustami, z próżnią w głowie, w sercu i najczęściej w kieszeni.

Po jarmarku wehnianym, któremu towarzyszyły wyścigi konne, następuje opisanie cholery, owęj plagi zeslanej przez Boga jako przestrogę, próbę i karę! Na tém powinienbym był szkic mój zakończyć, ale szczęście domowe uratowawszy od światowej burzy, ochroniwszy od zaraźliwej choroby, przenoszę je do stóp ołtarzy Boga Rodzicy w Częstochowie, bo jeżeli z nieba zstępuje dla nas pociecha, do nieba wznosić się powinny dziękczynienia nasze.

Mając na celu opisanie towarzystwa całego w ogolności, ze swoim dowcipem, głupstwem, ze swojemi zabawami, nudami, nie dotknąłem się bynajmniej szczegółowych osób. Jeżeli zatem w moim szkicu ktoś podobieństwo do siebie znajdzie, niechaj nie myśli, że go opisać chciałem. Zwierciadło nie szuka człowieka, nie jego wina, że się w niem człowiek spostrzega, poznaje.

Rozkaz twój Pani spełniłem, ale czym go należycie dopełnił? Łatwiej dawne opisywać dzieje, gdzie rzeczy można nadciągnąć, ująć, dodać, a nikt kontrolować nie będzie; łatwiej puścić cugle wyobraźni, i po krainie marzeń lekkiem bując skrzydłem, jak opowiadać to, co kaźden ze mną razem widzi, gdzie nie ukryć nie można, a wszystko powiedzieć niepodobna. Bądź co bądź, pracę moją w świat pu-

szczam. Sprawiedliwe wytknięcie wad i słuszną nagane przyjmę z pokorą; pochwałę, bez najmniejszej zarozumiałości.

Pisałem w Październiku 1852. roku.

L. P.

SZKIC TOWARZYSKIEGO ŻYCIA

Miasta Warszawy

Z DRUGIEJ POŁOWY XIX. STULECIA.

„Dobry wieczór Prezesie,“ rzekła Pani Emilja do wchodzącego lekkim krokiem reprezentanta prawodawstwa naszego, „witam Pana!“ dodała, białą rączkę wyciągając ku niemu. Prezes ściśnieniu ręki odpowiedział ściśnieniem, po czém przyłożywszy szkiełko do oka, niby z uwagą, może z roztargnieniem, bardzo zbliska przyglądać się jój zaczął. Po chwili: „ładna!“ zawołał. „Wiem o tém,“ odpowiedziała Emilja; istotnie była to ładna kobieta. Włosy jój czarne, ale téj czarnej barwy, po której polysk stali się odbija, zaczesane, à la Valois, gęstym zarostem spuszczać się z tyłu po białej szyi, zdawały się rzuconym cieniem na marmurze Karara. Rysów twarzy regularnych, płeć świeża, młoda. Oczu przelatujących z przedmiotu na przedmiot bez długiego spojrzenia, bez głębokiego wyrazu, jakby się lękały dojrzeć, obawiały, aby w nie nie wejrzano; miały w sobie coś do odgadnienia, coś pociągającego, drażniły ciekawością, nęciły powabem.

Średniego wzrostu, ale wydatnych kształtów ukrytych pod szerokimi fałdami mantylli z perskiego kaszmiru, z pod której lekka wymykała się suknia. Wychodzące z ust koralowych gęste kłęby białego dymu, czerpane w doskonałym cygarze z Hawanny okolały ją jakby chmurami, ... za chmurami, byłóż Niebo? Siedziała w wygodnym krześle gotyckim, wybitym aksamitem amarantowym, przypominającym krzesło, na którym siedząc Anna de Poitiers, słuchała miłosnych zapalów Franciszka I.

Po drugiej stronie, otoczona puchowemi poduszkami, wyszywanemi, jedwabiem, złotem i srebrem, na pół leżała na miękkiej sofie Matylda, kilka laty młodsza, co się jednak dostrzedz nie dawało.

Powiadają, że, jak słońce pod równikiem, palącym skwarem prędko zieloności świeżość, a kwiatom barwę odbiera, tak emancypacya zaciera wdzięki, gasi ponęty, przedwczesnie kobiety starzeje. Emancypacya, którąby nazwać można rozwolnieniem, dzieli się na dwie części, na fizyczną i moralną. Fizyczna do rozwiązłości i rozpusty wiedzie, moralna osusza serce, młodość oskubuje z kwiatu, marzeniom urok, snom złudzenie odbiera. Matylda z rysów twarzy, równie jak z dorodnej i giętkiej postawy była niezaprzeczenie artystyczną pięknoscią. Ten nos prosty, idący z czoła, jak go za czasów klassycyzmu, greckim zwano, te usta malownicze, te zęby tak białe, ta bródka z lekka zaokrąglona, te błękitne oczy, jedném słowem, ta tak rzadkiej piękności głowa, na pół osłonioną była gęstemi splotami jasnozłotyeh włosów. Tęże samęj barwy brwi i rzęsy, jeżeli wyrazowi twarzy coś mdławego nadawały; krasily ją nadzwyczajną pici białoscią. Był to posąg, arcydzieło wielkiego dłuta, któ-

remu mistrz na próżno: „mów!“ powtarzał; do którego na próżno wielbiciel: „kochaj!“ błagalnym głosem wołał.

Nasz Prezes, za ukłon głęboki, nieudarowany nawet skinieniem głowy przez Matyldę, poszedł o kilka kroków dalej i usiadł na połowie małej kanapy kształtu litery S; tyłem obrócony do niej, twarzą do obok siedzącej Wandy. Wziął sąsiadkę za rękę, do ust przyłożył; przypatrując się potem przez lorynetkę jakby z uwagą długim i pięknym paluszkom; rzekł:

1) Tutaj na bocznej kanapie,
Poznałem lwicę po łapce;
Mówiąc bowiem między nami,
Była łapka z pazurkami. —

„Jeżeli są pazurki, odpowiedziała Wanda, to nie dla Pana, ja drapię z łaski.“

„Co za koncept płaski!“ zawołał Prezes.

„Może się koncept nie podobał, ale i poezya nie zyskała zadowolenia mojego, odparła.“

„Ten tylko ocenić potrafi poezją, kto ją czuje,“ odezwał się Prezes, nie odejmując ani na chwilę szkiełka od oka.

„Powiedz mi Prezesie, zapytała Wanda, ponieważ ciągle przez lorynetkę patrzysz, czy też i przez lorynetkę czujesz?“

„Ja okiem widzę, a sercem czuję i kocham, odpowiedział, ale nie wszystkie.“

„Co za szczęście!“ rzekła Wanda.

„Tak Pani utrzymujesz, ja inaczej, a proszę nie zapominać, że prawo jest za mną, bom sędzią!“

„A ja wyrocznią!“ z pewnem uniesieniem wymówiła Wan-

1) Satyra, Lwice.

da, wstając z miejsca. Ze złotej puszki, dobywszy potem słomianego pohłosa, zapaliła go u różowej świecy, a wracając zwolna na miejsce kilku kłębamii gęstego dymu powitała, czyli raczej pożegnała Prezesa.

Spostrzegł to młody Apolinary, stojący przed kominem: „Pani Wanda puszcza Prezesa z dymem!” zawołał uszczęśliwiony ze swego dowcipu. Nikt się o to nierozgniewał, nikt z tego nie zaśmiał, Matylda tylko odwróciła głowę, ale trudno było odgadnąć, czy do naszego młodzieńca, czy do komina?

Wanda od lat kilku wdowa, mogła mieć lat trzydzieści; była w tym wieku, w którym kobieta utratę pierwszej młodości nadgradza całą dojrzałością, całym rozwinięciem namiętności, silniej kocha, prędzej żyje; podobna do kursowego konia, im bliżej mety, tém bardziej ostatnich sił dobywa. Powiedziano, że w kobiecie pierwsza i ostatnia miłość najgwałtowniejsza; w pierwszej na skrzydłach młodości puszcza się zapamiętałe w krajinę urojeń i marzeń, w drugiej chwyta się tej ostatniej deski rozbitku, z rozpacziwą, że tak rzekę, namiętnością. Wanda po pierwszej próbie, chociaż nie straciła czasu, nie spieszyła się jednak, zwolna postępowała w życiu.

Wanda piękną niebyła, podobać się jednak mogła, podobiała się nieraz. Czoło miała z lekka wypukłe, nos mały, zaokrąglony, niby zadarty, trochę rozkwarty; usta nieco wystające, oczy piwne, jakby lżą zwilżone, okolone czarnymi rzęsami; płeć śniadawą; ale w tych oczach pałał ogień, pod tą bladą śniadawą powłoką płynęła krew gorąca, te usta pełne świeżości i życia zamykały w sobie skarb drogi, Uryańskie perły. Skoro do tego dołączymy dowcip rozlany po całej twarzy, dowcip po-

ciągający, chwytający, niepuszczający od siebie, dziwić się nie będziemy, że Wanda nie jedną zawróciła głowę. W białej sukni, takieżże kamizelce spiętej turkusowemi guzikami, w kaftanie z aksamitu orzechowej barwy, nad samym tyle głowy miała niby koronkowe od czepeczka denko, ubrane ponsowemi i orzechowemi wstążkami tak zarzuconemi, jak kiedy młody chłopiec zarzuci czapkę na bakier.

Nie wielki kwadratowy pokój, wybity cały miękkim dywanem, w drugiej połowie XIXgo stulecia, nosił na sobie piętno owego modnego smaku odrodzenia przeszłości. Firanki u okien, zasłony u drzwi, oraz ściany, okryte były ciężkim adamaszkiem niebieskim. Na każdej ścianie po jednym obrazie dobrej szkoły, w dziwnie wyrobionych ramach. Kanapy, krzesła, stół okrągły na środku, wszystko z orzechowego drzewa, bogatą rzeźbą ozdobione. Na stoliku brązowa lampa jasne światło rzuciła, w koło niej porozrzucane dzienniki i książki. Kilka keepsaków w ładnej oprawie, jeden tom ostatniego romansu Sanda, dzieło o wychowaniu kobiet, ale nie rozcięte, łaska i przeznaczenie Rzewuskiego, roztwarte właśnie w tém miejscu, kiedy autor zdaje się z przyjemnością opisywać wewnątrz mieszkania owę żonę dwóch mężów! Dalej trzydzieści sześć godzin po ślubie, natchnienie młodej męzatki, nakoniec włoczki jedwabne i niektóre kobiece robotki pozawijane w ostatni numer Warszawskiego dziennika. Dodajmy rożową świecę w porcelanowym lichtarzu, obok porozrzucane cygara. Po rogach pokoju pozawieszane polisandrowe ełazerki, a na nich wysmukła statuetka obok grubego Chinczyka, obok tych różnorodnych cacek przypominających popsuty smak czasów Pani de Pompadour, a będziemy mieli wyobrażenie o sa-

lonie elegantki w 1852. roku. Dodajmy, że Emilja mężatka bez męża, czyli przetłómaczywszy na polski język, rozwódka, była gospodynią domu, Matylda i Wanda jęj światowemi przyjaciółkami, a Prezes, niezbędnym i codziennym gościem.

Ale zapomniałem o Panu Apolinarym, bliskim kuzynie Emilij. Pan Apolinary, jeżeli niebył pierworysem, mógł jednak uchodzić za doskonałą kopią dzisiejszj młodzieży. W kusym rejtfraku à la Kosuth zaledwie biodra zakrywającym, w spodniach i kamizelce popielatych, trzewikach z kamaszami, miał szyję pozawiazaną czarną chustką na pół zakrytą odgiętemi końcami kołnierza batystowj koszuli, zabot i mankiety en point d'Angleterre; jedném słowem, w całym ubraniu umyślne odniechcenie podług ostatniego żurnalu. Obfite jaśnoblond włosy, na dwie gęsto rozdzielone grzywy, aż na ramiona spływały. Rysy twarzy piękne, ale ta biała i wymokła cera, te oczy jakby za szkłem, w nieco podsiniąlej oprawie, te usta na pół otwarte a tak mało mówiące, ten wzrost wysoki, nachylony jakby się ugiął pod ciężarem lat dwudziestu czterech, te wąsy, ta broda, tak jasne, tak rzadkie, że ją odgadnąć prawie potrzeba, dawały mu coś zniewieściałego na zewnątrz, coś biernego na wewnątrz. Za dawnych czasów młodzież dzielnie harcowała na koniu, lubiła zapach prochu, krzyżowa sztuka dobrze jęj znaną była. Dzisiaj czyste ślimaki, zamiast w pancerzu w skorupie, zamiast się kordem nadstawić, wystawiają rogi, zamiast zapachu prochu, wołą dym cygara, zamiast dosiąć konia, siedzą dnie i noce przy zielonym stoliku, albo za kulissami; jeżeli czytają, to tylko kartę francuskiego restauratora; ale biegli w rachunkach: pożyczylem sto, winieniem sto pięćdziesiąt, a czasami dwieście. Apolinary oparty o wierzech

komina, spoglądał, to w lustrze na siebie, to na Matyldę, może pomyślał: tak piękne dwa utwory stworzone dla siebie, albo raczej nic nie myślał.

„Cóż nam przynosisz nowego?“ zapytała Emilja Prezesa.

„Nowego? odpowiedział, naprzód siebie.“

„Piękna mi nowość, przerwała Wanda, chciałaś powiedzieć odnowienie.“

„Czyli raczej odrodzenie, dodała Emilja, i to od czasu jak Maryja Firlej pokazała się znowu na horyzoncie wielkiego świata.“

„Istotnie odrodziłem się, na widok téj, dla której niegdyś pałałem miłością, za którą potem przez lat dziesięć tęskniłem; dzisiaj mam dla niéj cześć i uwielbienie!“

„Po dziesięcioletniej klauzurze małżeńskiej, Pani Firlej czy nosi jeszcze ślady dawnéj piękności? zapytała Wanda z szydzącym uśmiechem, czy dobrze zakonserwowana?“

„Maryja w szczęściu domowym przechowała wdzięki swoje, daleka od świata ochroniła się od zepsucia. A potem wszakże się młodą nazwać jeszcze może? Wszakże od Pani o parę lat młodsza?“

Wanda się tyłem od Prezesa odwróciła, a Matylda jakby ze snu estetycznego przebudzona: „Chciałabym rzekła cichym głosem, spodkać się z tym zjawiskiem.“

„Życzenie Pani zaspokojone zostanie, gdyż Maryja Firlej dzisiaj wizyty oddaje, i nieomieszka zapewne Panią Emilją odwiedzić.“

„Mocno się z tego cieszę, odezwała się Pani Emilja. Znałyśmy się z Maryją, obie będąe jeszcze pannami; od jéj za mąż pójścia straciłam ją z oczu; ale przyznam się wam, że

w przeszłym tygodniu, na ostatnim balu księżnej N. ujrzałam ją może piękniejszą jak dawniej, jak kiedykolwiek, jaśniejącą całym powabem rozwiniętych wdzięków. Powiedz mi jednak Prezesie, gdzie się od lat dziesięciu obracała? z jakiego powodu na nowo ją widzimy na wielkim świecie?“

„Rzecz bardzo naturalna, przerwała Wanda, Maryja poszła za mąż z miłości, dla męża świat porzuciła; gorąca miłość z czasem ostygła, minęła, mąż ją znudził; do świata powraca. Moi Panowie, co za obfite dla was żniwo, życzę pomyślności, i łatwego zwycięstwa.“

„Maryja temu lat dziesięć, rzekł Prezes, za mąż poszła i z mężem osiadła na wsi; oddana całkiem obowiązkom żony i matki, zapomniała, że tak powiem, o wielkim świecie, bo ma szczęście domowe, i na niem poprzestaje. Tego lata była u wód zagranicznych, zkąd wracając zimę przepędza w Warszawie. Cóż więc dziwnego, że w mieście nie stroni od zabaw, bo w nich niebezpieczeństwa nie widzi, nie ucieka od ludzi, bo się ich nie lęka, bo wie, że niezakłóca spokoju jęj serca.“

„Serce kobiety! wymówiła z westchnieniem Matylda, *jest nie zgruntowaną otchłanią boleści i cierpień*. Tak powiedziała pani Sand w swojej nie porównanej Lelij. W innym zaś miejscu dodaje: *Il y a un refuge contre Dieu, c'est le néant*.“

„Dziękując Pani, odpowiedział Prezes, żeś drugiej części swojego przytoczenia nie przetłómaczyła na język polski, niechaj mi wolno będzie odpowiedzieć słowami tęjże samęj, a ulubionęj, jak widzę, twojęj autorki:

Wy wszyscy, którzy wielbicie Stwórcę, na kolanach składajcie dzięki przed waszym aniołem stróżem, bo kiedy z ziemi do nieba,

z nieba do ziemi przelata, stąd wasze prośby zabiera, ztamtąd wam pociechę przynosi.

„Wiesz co Prezesie, odezwała się Emilja z uśmiechem, że nim zostałeś sędzią, musiałeś być adwokatem.“

„Dobry sędzia powinien być przedewszystkiem bezstronnym.“

„A chcąc być bezstronnym, rzekła Wanda, serce się do obrony mieszać nie powinno.“

„Z tego też powodu, kobieta ani sędzią, ani świadkiem być nie może.“

„Co jój wyższości nie zaprzeczonem dowodem. Proszę nie zapominać, Mości Prezesie, że sprawiedliwość rodzaju żeńskiego.“

„Zazdrość, nienawiść i próżność do tego samego rodzaju należą. Dobrze ktoś powiedział, że kobieta jest wydoskonalonym djabłem.“

„Djabli tego biorą, co władnej kobiecie wynajduje djabłów.“

„Ładnej?“

„Każda, kiedy podobać się umiała, była wtedy ładną, a jeżeli się często podobała, często była ładną.“

„Kto się kłóci, ten się kocha, odezwała się Emilja, a z tego wnosićby można.....“

„Proszę nie nie wnosić, rzekł Prezes, gdyż z kochania do nienawiści krok tylko jeden.“

„A Pan Prezes nienawidzi całą miłością własną,“ dodała Wanda.

„Czasami, nie zawsze.“

„I najdowiecipniejszy człowiek czasami nudny, najrozumnniejszy czasami....“

„Dziękuję za komplement!“

„Niemasz za co dziękować, kochany Prezesie; to tylko wet za wet, jaką miarką mierzycie.....“

„Coś Pani biblią przytaczasz, przewrał jój Prezes, może już czas nastaje zostania dewotką.“

W tém kamerdyner wszedł do pokoju i zameldował hrabinę Firlej. „Prosić,“ zawołała Emilja, poprawiając się na krzesle. Matylda większą jeszcze, jeżeli być może, przybrała postawę od niechcenia, Apolinary siadł za nią na stołku, Wanda zapaliła świeżą cygaretkę, Prezes wstał z miejsca, Maryja Firlej do pokoju weszła.

Karnawał 1852go roku już się był zaczął, szal zabaw, wir tańców, wszystkie był opanował głowy, a nie było dnia w tygodniu, ażeby jaki wieczór, bal, piknik, reduta nie wabiły tych, którzy w braku szczęścia szukają zabawy lub roztargnienia. Tam młoda dziewczyna pierwsze kroki stawia, z tą nieśmiałością tyle obiecującą, z tym biciem serca tyle przecuwającym! Tam młoda mężatka dla hołdów porzuca szczęście domowe, dla pochwał wyrzeka się prawdy, dla ludzi zapomina o Bogu! Tam młodeńce szuka zabawy, mężczyzna szuka zmysłowej rozkoszy, starzec zapomnienia tego, co boli.

Od lat dziesięciu śluby małżeńskie łączyły Czesława Firlej z Maryją, miłość gorąca i czysta była ogniwem ich związku, a lat dziesięć szczęścia nie byłoż to dosyć, nie byłoż za nadto? Czesław obdarzony sercem prawém, szczerém a zarazem czułym i kochającym, z wyobraźnią żywą i poezyi pełną, od młodości

szukał tego szczęścia, które tylko miłość w domowém pożyciu daje; od młodości, samych doznał zawodów! Za miłość odplacony niewiarą, za przyjaźń niewdzięcznością, puścił się w odmęt życia z tą goryczą, która rozpaczy towarzyszyć zwykła. Doświadczywszy tego wszystkiego co boli, rozdziera, i truje, utraciwszy to wszystko co do życia przywiązywać może, urągając się z niebezpieczeństw wśród burzy, już był wypit do dna kielich przepelniony goryczą, już serce obolałe żądało tylko wytchnienia, a jeżeli myślą po za kres tego życia sięgał, życzeniem o krawędź grobu uderzał. W tém napotkał Maryję, wstrzymał się, a rzuciwszy na nią badawczém okiem, pytającym, że tak powiem, dusza jego w jój duszy się odbiła, serce w piersiach zawrzało, już kochał, już był kochanym!

Cokolwiek w pierwszej młodości o kobiecie roił, co tylko wyobrażnia wymarzyć, a serce utworzyć mogło, to wszystko znalazłszy w Maryi, czuł się jeszcze niegodnym posiadania tego anioła, czuł, że jeszcze za nadto mało wycierpiał w miarę podobnej nagrody. Cała przeszłość zdała mu się próbą, cała przeszłość przeznaczeniem.

Czesław z Maryją u stóp świętych ołtarzy połączony został.

Otrzymać to, czego człowiek pragnie, jest często tylko spełnioném życzeniem, dopiętym celem, dogodzeniem fantazy; lecz poprzestać na tém czegośmy żądali, prawdziwém szczęściem nazwać można. Wszyscy do tego zmierzają, niektórzy dochodzą, lecz wybrany tylko powiedzieć może i umie, jestem szczęśliwy!

Podobnego szczęścia Czesław i Maryja przez lat dziesięć doznali. Żadna chmura nie zaćmiła im nieba, pod którym żyli, żadna burza nie skołała łódki, na której przepływali życie.

Dzień był dniu podobny, co wieczór dziękowali za dzisiaj, co rano prosili o przedłużenie wczoraj!

Jeżeli ta roślina, która wyrosła sama jedna w dolinie, daleka od uprawy i starań ręki ludzkiej, wzbija się w górę i najpiękniejszym kwiatem okrywa; podobnież Maryja, zaledwo wyszła z dziecinnego wieku, błysnęła powabem ciała, zajaśniała nieprzebranemi skarbami duszy. Piękna jak miłość, dobra jak przyjaźń, prawdziwym była aniołem w postaci ziemskiej istoty; i kiedy zdawało się, że wszystko z sobą przyniosła z nieba, czemuż w niebie zostawiła szczęście? Mając w sobie to co wabi, zachwyca, poi; obdarzona wyższym rozumem, bystrzejszém pojęciem, wznioślejszą wyobraźnią, od innych kobiet, czemuż Maryja nie była szczęśliwą? Otoczona pochlebstwem i uludą, jeżeli prawda do niej doszła, bo ją miała w sobie, jeżeli zepsucie do niej nie doszło, to tylko dla tego, że Bóg strzegł swego anioła! Ale Maryja szczęśliwą nie była, nie będąc miłością, ale tylko chlubą własnej matki. „Patrzcie na nią!“ powtarzała nieraz z dumą matka; „Boże! dziękuję Ci, żeś mi dał Maryję.“ Nigdy z jęj ust nie wyszło. Niemając tego schronienia i przytułku, które się tylko w matczyném sercu znajduje, tój czulej opieki, tój zbaWiennęj rady, którą tylko matka córce dać może, Maryja sama że tak powiem, puszczona na świat, sama odgarniać ciernie, wybierać przejścia, unikać przepaści przymuszoną była. Szła za popędem własnego serca. Unikając pochlebstwa, wzniciła zazdrość, unikając sideł światowych, wzniciła zawiść; szczerą i otwartą wzniciła potwarz, trzymając się prawdy wzniciła kłamstwo. Złość przeciwko niej powstała, bluźnierstwo okryło ją jadem, gdyż ludzie przebaczyć jęj niemogli, że lepszą od nich

była! Prześladowana, ścigana, szarpana, już uledek miała przed wyrokiem potwarzy, gdy Bóg jej zesłał Czesława. Zaledwo się spotkali, Maryja odgadnęła Czesława, Czesław zrozumiał Maryję. Miłością kochanka swojego silna, już się nie lękała niczego, podniosła głowę w górę i wzrok swój utopiła w niebie. Odtąd dzień po dniu pogodny następował dla nich, a zobopólna miłość była duszą ich życia. Niedbali o świat, gdyż znajomość jego zbyt drogo ich kosztowała; niedbali o złość ludzką, gdyż złymi ludźmi pogardzali. W domowym wiejskim zaciszu, używając dostatniego mienia, karmiąc duszę nauką a serce miłością, o jakże błogo i swobodnie żyli! Bóg dając im dwoje dzieci, ścieśnił jeszcze, jeżeli to być może, węzły łączące na zawsze dwie istoty stworzone, że tak powiem dla siebie!

Tak im lat dziesięć przeminęło. W roku 1851ym przepędziwszy lato u wód za granicą, wrócili do kraju i w Warszawie na zimę zostali.

„Czesławie, rzekła któregoś ranku z uśmiechem Maryja do męża, jutro bal u księżnej W... bądźmy na nim. Bawić nas będzie, przywitać się z tém towarzystwem, z któreśmy się od lat dziesięciu pożegnali, będzie to dla nas nowością, rozrywką, może przedmiotem wielu ciekawych spostrzeżeń.“ Zgodził się Czesław na żądanie żony, i nazajutrz Maryja błysnęła w salonach księżnej W... tak, jak meteor na niebie, jak nadszpiegowane zjawisko!

Maryja w samej sile wieku, w samym rozkwicie wdzięków, którym lat dziesięć szczęścia dōdawały uroku, zaledwo weszła wśród tłumu, tłum się rozstał, wszystkich oczy zwróciła na siebie, wszystkich oklaski i uwielbienia pociągnęła za sobą.

Dzisiaj niewinna ciekawość przywiodła ją na bal, hold powszechny na nim zatrzymał; jutro miłość własna popchnęła ją na drugi. Odtąd szedł bal za balem, wieczór za wieczorem; nie było zabawy bez Maryj; Maryja stała się ozdobą modnych salonów, duszą wszelkich zabaw, kwiatem pierwszych towarzystw, władczynią mód, królową dobrego tonu. Rojem wielbicieli otoczona, nikt jednak nie śmiał się do niej zbliżyć, gdyż wejrzeniem odsuwała od siebie natrętnych, w jej wejrzeniu była pogarda od owych światowych kadzideł nie ofiarnych, ale pragnących ofiary, i okrywała ją tarczą nieskalanej cnoty.

Czesław przez dni kilka towarzyszył żonie; oświadczywszy jej potem, że go świat nudzi, że woli zostać w domu, pozostał w nim, ale sam jeden z dziećmi. Odtąd dnie i wieczory przepędzał z niemi, podwajał im pieśczęt za siebie i za matkę. Tryb dawniejszego życia się zmienił, dawne szczęście zniknęło, pozostała tylko tęsknota i smutek. Maryja późno wracając do domu, wtedy się budziła, kiedy Czesław dla interesów z domu wychodzić musiał; gdy wracał, najczęściej żony niezastawał, jeździła za sprawunkami do sklepów, albo z niezbędnymi wizytami. W obiadowej tylko porze widywali się czasami, i to jeżeli Maryja gdzieindziej zaproszoną nie była. Po obiedzie szedł Czesław do swojego pokoju, ale Maryja nie szła za nim, przygotowywać musiała ubior wieczorny; tém tylko zajęta, zaczynała zapominać o mężu, o dzieciach. Najmniejsza jednak skarga z ust Czesława nie wyszła; równie kochający, równie czuły dla żony, cierpienia swoje w głębi serca zamykał, cierpliwie znosił; i na cóż czekał? Był pewny, że mu Maryja powróci!

Kiedy karnawał trwa długo, a huczny i ożywiony wy-
 czerpie wszelkie rodzaje światowych zabaw, wszelkie zasoby za-
 bicia czasu; kiedy fizyczne utrudzenie zaczyna moralnemu znie-
 chęceniu towarzyszyć, natenczas zwykle myśl filantropiczna przy-
 chodzi podnieść ducha, obudzić z otrętwienia i choć na chwilę
 nastroić rozprzęgającą się towarzyską maszynę; myśl o ubogich.
 Myśl rzucona od niechcenia, powtórzona przez kilku, myśl przypa-
 dająca może do smaku ładnej kobiecie mającej dla ubogich wystę-
 pować na scenie, zbierać wieńce, odnosić oklaski; ale w ogólności
 myśl z umiesieniem przez wszystkich przyjęta, trafiająca do serca!

Warszawa znana ze swojej dobroczynności, nigdy nie
 była głuchą na głos potrzebnego. Pamiętamy dotąd co się w niej
 działo w 1813tym roku, kiedy wylew Wisły wsie okoliczne
 i przedmieścia okrył wodą, zrównał z ziemią, tysiące ludzi zo-
 stawił na dachach chwiejących się domów, bez chleba, bez odzie-
 nia, czekających lada chwila śmierci, kiedy kobiety nasze płynąc
 łódkami z odzieniem, pokarmem, napojem, niosły pomoc nieszczę-
 ściu, a każdy oddawał co mógł, więcej jeszcze. Dawano
 publicznie, pokryjomu, dobroczynność przewyciężyła nędzę.
 Ówczesne Polki wszak to były matki nasze! niemasz już po-
 między nami Zofij Zamojskiej, o której można powiedzieć, że
 kogo dotyka nieszczęście, każdy o niej myśli, wspomina, czuje
 jej stratę, powtarza, czemu już jej niemasz? Ale jej przykład
 został w Warszawie, ona w niej, że tak powiem, zaszczerpiła
 dobroczynność. Odtąd na każdą klęskę znalazła się pomoc i ra-
 tunek, odtąd co rok loterye fantowe, amatorskie teatra, koncerty,
 publiczne widowiska, kostiumowe bale, obrazy, kwesty, zapobie-
 gały potrzebie, niosły zasiłek nędzy, ocierały lzy cierpiącym.

Również i w roku 1852gim myśl dobroczynna, dobroczynny skutek przyniosła. Na tym świecie wszystko jest próbą. Próba zaczyna, doświadczenie kończy. Chwila szczęśliwa próbą lepszego życia, zła dola próbą, przez nią opatrność nas doświadcza lub karze. Probujemy oka, aby dojrzeć, pytamy, aby się dowiedzieć, zastanawiamy się chcąc pojąć, uczymy chcąc nabyć; dziecko probuje kroków, nim chodzić zacznie, starzec sił ostatnich probuje, aby jeszcze kilka kroków zrobić, i dojść do grobu!

Spróbujmy widowiska dla ubogich, może nam się uda, może dużo przyniesie? Nie probujcie, ale od razu przystąpcie do rzeczy, a za dobry skutek ręczę. Publiczność nasza, chociaż podobna do ładnej kokietki, zła głowa, ale serce dobre; wprawdzie nieraz zatańczyła jak jój zagrano, jednak gdy szło o dobroczynny uczynek, szła zawsze za tym wewnętrznym głosem: kochaj bliźniego jako siebie samego, nie odmawiaj biednemu.

Naznaczono komitet, a na nim po długich sporach, po długich pro i contra, po naradach bez końca, postanowiono dać na korzyść ubogich na wielkim teatrze nadzwyczajne przedstawienie, do którego same czoło pierwszego towarzystwa czynny udział brać miało.

U Pani Emilij walna toczy się rada. Tam ułożono cały plan wystawienia: Mąż i żona Fredry. Scena wyjęta z Barbary Radziwiłłowny Felińskiego, koncert i obrazy.

W pierwszej sztuce Pani Emilja Hrabiny, Wanda Justysi, wzięły na siebie role. „Brawo, zawołał Prezes, jedna i druga w naturalnej roli, potrzebować nie będą odgrywania komedyi.“

„I żmija kiedy kasa, komedyi niegra, w naturalnym jest stanie“ odezwała się Wanda.

Prezes półknął prawdę, ani się zakrzusił, a ponieważ rola Zygmunta Augusta jemu się dostała, przybliżając się do Maryj Firlej, rzekł:

„Pozwól, bym czoło twoje uwieńczył koroną,
Obrał Ciebie Barbarą i Augusta żoną. —

Kiedy po długim wahaniu i oporze Marya zgodziła się wziąć udział w przedstawieniu dla ubogich, nie jedną zazdrość wzbudziła, nie jeden szyderski uśmiech wzniciła. Spostrzegł to Prezes, a przybliżywszy się do małego opozycyjnego kółka, złożonego z samej płci żeńskiej, temi przemówił słowy:

I nad Bony truciznę, -nad Włoskie sztylety,
Wierzcie mi, że zjadliwszą jest zazdrość kobiety!

Z większą łatwością ułożono koncert, gdyż o tenor, soprano, bas i baryton u nas nie łatwo, mniej zatém współzawodników się znalazło.

Przystąpiono do obrazów. Tam dopiero miłość własna, chęć wywyższenia się nad drugich, pragnienie oklasków, wszystkie namiętności w grę wprowadziły, prawdziwy bunt podniosły, zatknęły chorągiew powstania. Obrazy podzielono na dwa oddziały. W pierwszym po jednej stronie sceny w bogatych ramach Karol I. król angielski, wzięty z oryginału Van-Dyka; po drugiej Kromwell, protektor Wielkiej Brytanii; po środku spotkanie Elżbiety królowej Angielskiej z Maryją Stuard królową szkodzką, obie otoczone licznym dworem. —

W drugim oddziale, pomiędzy Jadwigą królową Polską, a Aldoną pustelnicą z Marjenburgskiej wieży, polonez wzięty z pamiętników Paska.

Już kilka prób odbyto, rozdano role, wybrano ubiory, a dyrygujący znawca jeszcze do ładu dojść nie może, jeszcze nie postanowić nie zdołał, bo wszyscy radzą, kłucą się, nikt nie słucha, niemasz zgody.

W obrazie pierwszym Elżbieta Angielska stać miała po lewej stronie sceny, a Maryja Szkocka po prawej.

„Ja niechcę stać po lewej stronie, — rzekła jedna z dam dworskich Elżbiety, ja chcę być prawą stroną, obróconą do publiczności.“ „Ale to być niemoże, bo musiałabyś Pani albo stać w pośrodku między Elżbietą i Maryją, albo tyłem obrócona do swojej królowej; zdawałoby się wtedy, że jej dwór opuszczasz.“ „Opuszczam,“ odpowiedziała, zstąpiła ze sceny, wyjechała i niepowróciła więcej.

„Skąd ta dezercya?“ zapytano. „Czyście nie uważali, że Pani M. ma brodawkę na lewej stronie twarzy,“ odezwał się ktoś z boku, aby ją ukryć przed publicznością po prawej stronie stać chciała.“

Szło potem o pierwszeństwo: Panna X. pragnęła zająć miejsce przed Panią W.; ta jako mężatka, Pannie pierwszeństwa ustąpić niemogła. Panna Jadwiga chciała koniecznie włożyć na głowę coś ponsowego, bo brunetka, w tym kolorze jej do twarzy; nie zgodzono się na to, będąc bowiem ze dwóru królowej Szkockiej, żalobę przywdziać przymuszona była. Pani Pułkownikowa pragnęła wystąpić w sukni co tylko kupionej u Szlękiera.

„Ale to być nie może, suknia Pani nie stosuje się do ówczesnej epoki.“ „Dla czego? kosztowała sto rubli, ja inną nie włożę.“ I jak tamta z powodu brodawki, tak ta z powodu sukni opuściła pobojowisko. Żona bogatego bankiera, za kilkakroć sto-

tysięcy wkładając na siebie klejnotów, byłaby samą zakazowała Elżbietę, ale ponieważ jest jedną z najładniejszych kobiet w Warszawie: „Na co te klejnoty? odezwano się do niej, Pani je zastąpić, przyćmić własnymi zdołasz wdziękami.“

„Ustępuję zawsze, gdy mi do przekonania trafiają;“ rzekła, zdjęła klejnoty, pozostała z wdziękami.

Jedna więcćj, druga mniej wygorsowaną być chciała. Inna z brzydką ręką obstawała za rękawiczkami; ta za krótką, owa za długą suknią, stosownie do pięknej lub brzydkiej nogi; blada przemawiała za różem, czerwona za blanszem; ta pragnęła być widzianą z boku, ta z przodu, a publiczność nie byłaby może straciła, gdyby niektóre tyłem się obróciły do niej. Emma ma ładne zęby, czemużby ich nie pokazała; Zofia chce się uśmiechać, bo jej z uśmiechem do twarzy. Mężczyźni golić wąsów nie chcieli, ani długich włosów obcinać. Zastósować ubior do czasu, postawę do przedmiotu, było trudném, cóż dopiero powiemy o wyrazie oczu, tu się rozbiły wszelkie usiłowania urządzającego, a nalegania próżnemi się stały. Na dworze królowej Elżbiety powinna była panować duma połączona z powagą, na dworze Maryi, smutek i zdanie się na wolę Boga, i jeżeli obie królowe zastósowały się do przybranego charakteru i okoliczności, inaczej się stało z otaczającym je gronem. W tej niebieskich oczach wyraz czuły; ta długim spojrzeniem szuka i znajduje; tamta strzela na prawo i lewo; ta rzuca błyskawice; ta szafir oka łązawą perłą okrywa; a oko obrazem duszy. Cóż z tego wynika? że przedstawienie było nieruchome, nieme, ale przemawiały oczy, i niejeden tę mowę zrozumiał, odgadnął.

Chcąc rządzić narodem trzeba być wielkim monarchą, chcąc

dowodzić wojskiem trzeba być wodzem, chcąc dziećmi kierować, trzeba być sprawiedliwym, umieć nadgradzać i karać; chcąc panować nad kobietą, trzeba być czułym i zimnym razem, wiernym i niestałym, zazdrośnym i obojętnym, niewolnikiem i panem, trzeba być kaprysem.

Od dwóch tygodni cała Warszawa w ruchu. Sklepy przepelnione kupującymi, modniarki i krawcy po całych dniach i nocach szyją bez przestanku. Niejedna elegantka ubior dla siebie zapisała z Paryża. Wszystkie mód dzienniki wyczerpano, keepseki, sztambuchy, ilustracje, dostarczają wzorów, próby odbywają się bez przerwy. Każdy się uczy swój roli, każda przymierza, poprawia strój, mający dodać wdzięków, udzielić powabów, zyskać oklaski, zachwycenie wzniecić!

Nakoniec, po rogach wszystkich ulic poprzyklepiane afisze oznajmują publiczności, iż dzień widowiska nastąpił. Od godziny piątej z południa wielki plac przed teatrem zaledwo tłuny ludu pomieścić może. Kassa teatralna oblężona. Otworzono podwoje, i nieprzeliczone mnóstwo wcisnęło się do rzęsto oświeconej sali. Łoże napelnione młodemi, ładnemi, starymi, szpetnemi, ale jak na bal wystrojonemi kobietami. W krzesłach zasiedli ci, którzy więcej zapłacić byli w stanie. Na parterze się duszą, galerye i paradyz uginają się pod ciężby ciężarem.

Wybiła szósta godzina. Dyrektor orkiestry wstąpił na wyższe miejsce, uderzył marszałkowską buławą urzędu swojego; wrzask, gwar, szmer ustały; zagrano uverturę z Proroka. Po uwerturze chwila wytchnienia. Każdy odkaslnął, nosa utarł; ten się na miejscu poprawił, jeden do drugiego przemówił; lorynetki na wszystkie wrychtowano strony, ale tylko na chwilę.

Odezwał się dzwonek, nastąpiła cichość, kurtyna się podniosła, mąż i żona, komedyja Aleksandra Fredry rozpoczęła widowisko.

Pomiędzy licznymi utworami tak zasłużonego pisarza można śmiało powiedzieć, że mąż i żona jedno z pierwszych miejsc trzyma; a jeżeli w arystokratycznym świecie, kędy rzecz prowadzi, już chwała Bogu, zdrożność obyczajów coraz rzadsza, znajdziemy jeszcze niejedno małżeństwo znudzone sobą: mąż dla żony, którą przed światem niby uwielbia, w domowym pożyciu gderający, nudny, kapryśny, nieznośny skrytą intrygę wiedzie z jej garderobianną. Młoda żona znudzona nieznośnym, kapryśnym mężem, pociesza się z jego przyjacielem od serca, a ten ze swojej strony niepoprzestaje na jedném zwycięztwie, wolne chwile poświęca téjże samej garderobiannie, dzieląc się chętnie pomiędzy pani swoją mężem a kochankiem. Na takim tle, Fredro zaosnował sztukę swoją, wzbogacił ją głęboką znajomością serca, okraślił dowcipem, ubarwił wesołością, oddał płynnym i łatwym wierszem; zachował nawet jedność miejsca, bo się wszystko pod jednym dachem odbywa; nakoniec odpowiedział w całym znaczeniu wyrazu przyjętemu przez siebie godłu z Andrzeja Maksymiliana Fredry:

„Czudzego nabywając, swoje często tracim,

„Kto po cudzą stawkę idzie, trzeba żeby

„Swoje stawił, czasem i zapłacił.

Pani Emilia w roli Elwiry, czyli żony, była doskonałą, a pani Wanda w roli Justysi, służącej, nieporównaną.

Kiedy Justysia oskarżywszy przed panią jej kochanka, Alfreda o złą wiarę, pragnie go przez to wydalić z domu, aby tém łatwiej, wygodniej i bez przeszkody prowadzić mogła z wła-

snym panem intrygę; kiedy uszczęśliwiona, że się jój dobrze powiodło, temi się słowy odzywa:

Ciesz się Justysiu, i ciesz się Wacławie!
Otóż to główka, dali Bóg nie lada!
Wszystko, com chciała, najlepiej wypada!
Nie będę teraz lękać się na chwilę,
Będę tu Panią, kochać i żyć mile,
Wszystko spokojnie, wszystko z dobrą sławą,
Brawo Justysiu, brawo!
(śpiewa i tańcuje) brawo, brawo, brawo!

Tak naturalnie wyrzekła te słowa, że je grzmiotem okłasków okryto.

Kiedy zaś Elwira przekonana, że ją kochanek zdradza, wnosząc na scenę całą chustkę napelnioną listami niewiernego kochanka, zastaje męża całującego Justysię, w zapale złości przemawia do niego.

Teraz dopiero dochodzę przyczyny,
Czemu oziębły zawsze byłeś ze mną,
Jam oddalała życzeń cel jedyny,
Jam tylko w domu była nieprzyjemną;
Dla tegoś to chciał zawsze mnie wyprawić,
Abyś mógł częściej godziny z nią trawić,
Otóż to wszyscy tacyście mężowie!
Czuli, wierni, tylko w mowie,
Sami zły przykład dajecie,
A dobre żony mieć chcecie.
Chcecie, aby biedna żona,
Choć zwiedziona, choć wzgardzona,
Zawsze równie was kochała,
Wam wierzyła, was słuchała;
I za wszystkie swoje męki
Jeszcze panu niosła dzięki,
Żeby jego znała wolę,
Ukrywała swą niedolę,
Żeby tylko sługą była;

(tu jeden pakiet listów wypada z chustki.)

Ach! ach!

(chce podnieść listy, nachyla się, w tém drugi pakiet wypada, a następnie wszystkie),

O nieba! cóżem uczyniła!

Tu cała się sala zatrzęsła, a przez minut kilka publiczność w uniesieniu swoim uspokoić się nie mogła.

Zakończono komedią Fredry, a z nią pierwszą część widowiska. Kortyna zapadła. Ruch, wrzawa, po całej rozeszły się sali. Kobiety z jednej łoży do drugiej z odwiedzinami idą, mężczyźni opuściwszy krzesła i parter do łoż się cisną, cały zasób nagan i pochwał niosą na pierwsze skinienie płci pięknej, na dogodzenie kaprysu, widzimisia, uprzedzenia. Tu krytykują sztukę, znajdują, że nie moralna, tam nadto surowo rozbierają grę naszych amatorów, zapominają, że dla ubogich występują na scenę. Tu znowu: „piękne mi widowisko!“ ktoś z boku zawołał, „na którym za kulisy nie puszczają nikogo!“ Ta gani ubior młodej mężatki, ta znajduje, że Justysia nadto kokietką była, nadto w swojej roli. Ale jeżeli gdzie niegdzie krytyka podniecona może zazdrością tak mało jest pobłażająca, większa część publiczności zadowolona, nieszczędzi pochwał. W *foyer*, kilku młodych literatów porównywają Fredrę z Korzeniowskim. Zwolennicy polskiej sceny podzieleni na dwa przeciwne obozy, występując na harc, pojedyncze walki toczą, jeden nie ustępuje drugiemu, każdy przy swoim zdaniu obstaje, upiera się przy nim, nikt bronii nie składa, a jednak jedna i druga strona przekonana, że odniosła zwycięstwo.

Przy małym stoliku pod oknem kilku podżytych amatorów zajadając lody, przypomina sobie dawniejsze czasy i dawniejsze widowiska dla ubogich, porównywa z dzisiejszemi. Ten twierdzi, że loterye fantowe i zabawniejsze były, i więcej przynosiły pieniędzy; tamten przytacza ów obraz przedstawiający cztery żywioly, w którym piękna blondynka wyobrazająca wodę,

jój pędem porywała serca, ziemia była tak zachwycająca, że nadto przywiązywała do życia; ogień żarem swych czarnych oczu, niejednen pożar sprawiał, a powietrze aż w siódmę unosiło niebo! ¹⁾)

Inny miał ciągle przed oczami obraz owój czarującej piękności świętej Cecylii ²⁾). Nakoniec ktoś przystąpiwszy do bliższych nas czasów wychwalał szaradę, *nieboraki*, w której małe działki tak mile niebo oddały, zielony ogródek przypominał nam smaczne raki, a całość szarady tak pięknym i rozczulającym wierszem oddała ta, która sercem jest dotąd opiekunką i matką biednych ³⁾).

„Przytaczając to co było,“ odezwał się ktoś z boku, „niepotępiajmy tego, co będzie, wszak widowisko nie skończone, wracajmy raczej na nasze miejsca, a pamięć dnia dzisiejszego dodajmy do dawnych pamiątek.“

W cukierni Loursa na dole żwawsza i hałasliwsza toczyła się walka. Młodzież nasza pod niebiosa wynosiła grę i wdzięki pani Emilij, niemiała dosyć pochwał, oklasków i uwielbień dla niej. Kilkunastu huzarów popijając poncz gorący, przenosiło nad nią Justysię; i owe oczki tak mówiące, owe koralowe usta, ruchy tak wabne, ową talijkę tak zgrabną, tak nęcącą zmysły.

Kilka scen z Barbary Radziwiłłownej, tragedyj Felinskiego, rozpoczęły drugą część widowiska. Maryja Firlej przedstawiając królową tak sławną z piękności, z cnót i nieszczęść; z najwię-

¹⁾ Przeważały wodę Zofia Hrabianka Chodkiewiczówna, ziemię księżna Teressa Jabłonowska, ogień Amalia Bronikowska, powietrze Celina Hrabianka Zamojska.

²⁾ Panna Węgrzecka.

³⁾ Hrabini Ożarowska.

kszą doskonałością oddała swoją rolę. Blask jęj oczu gasił otaczające ją drogie kamienie. Ta korona, ten płaszcz królewski, zdawały się zbytęczną dla nięj ozdobą. Kaźden z widzów przenośli się w Zygmontowskie czasy, nie jedno oko tęskną łzą zaszło, w niejednęm sercu głęboke przytłumiło się westchnienie, kiedy się temi do Augusta odezwała słowy :

Co czynisz? leczisz z mieczem na twoich rodaków,
I Polaków prowadzisz na miecze Polaków!
Leczisz ich tym coś bronisz zabijać oręźem,
Ty co jesteś ich ojcem... i Barbary mężem!
Dla czegoż to się rzucasz w tę przepaść szalony?
Byś niepostradał twojęj nieszczęśliwęj żony?
Ze mnie więc klęsk tych źródło. z mojęj to przyczyny
Toczą bój bracia z braćmi, i z ojcami syny;
A ja mam żyć niestety! na toż będę żyła,
Żebym matek w rozpacy wyrzuty znośiła,
Oglądała ich syny poległe z twęj ręki,
Słyszała całej Polski przekleństwa i jęki?
Ach! czemu nie przejrzała szlubując Ci wiare,
Jakim kosztem zatrzymać zechcesz twą Barbarę,
W jakie Cię zbrodnie miłość wprowadzi zaciekla,
Miłości, szczęścia, Ciebie, byłabym się rzreklea,
Lub mą śmiercią zbrodnicze odwróciła boje;
Lecz nie minął czas jeszcze. Oto piersi moje!
Utop w nie wszystkie miecze, te miecze krwi cheiwe,
Które niesie na braci twoje ramie mściwe! 1)

Nie usłyszano oklasków, owych głośnych zadowolenia oznaków, ale głuche nastąpiło milczenie, a w nięm myśl tęskna, stała się najpięknęjszym kwiatem z wienca niewidomą ręką do nóg Maryi rzuconego.

Nastąpił concert instrumentalno - wokalny. Mazur Szopena odegrany na fortepianie, waryacye Ole-bhula wykonane na skrzyppach; solo, duęć i finał, z najnowszycch oper dobranemi głosami

1) Barbara Radziwillowna, akt IV. scena 7.

odśpiewane z dobrą chęcią i w szlachetnym celu zyskały zasłużone oklaski.

W obrazach, pomimo że w spotkaniu Maryi z Elżbietą dwór jednej i drugiej stał z niemi w równej linii, bo żadna żadnej bez względu na ceremonjał dworski i na artystyczną perspektywę, na krok ustąpić niechciała, a miłość własna z miłością bliźniego uporczywie się ścierały; dobór osób, dokładność ubiorów, ścisłość historyczna zyskały zasłużone pochwały znawców, uniesienia publiczności; najgłówniejszy zaś cel dopiętym został, do kasy ubogich kilkadziesiąt tysięcy wpłynęło.

Księżna W... znakomitego imienia, ogromnego majątku dziedziczka, po śmierci męża osiadła w mieście naszym, i z towarzyskiego położenia swojego pierwsze w niém zajęła miejsce. — Obyczajów i zwyczajów naszych prababek, dawnych matron polskich niemogąc już być wyobrazicielką, poszła za ich przykładem, przechowała ich cnoty. Idąc z postępem czasu, umiała odróżniać blask fałszywy od prawdziwego światła, umiała smak obczyzny w zamiłowanie tego co swoje zamienić, a kładąc tamę podbojom szalonej literatury francuzkiej, Dumasa, Sanda, Wiktora Hugo, Eugeniusza Sue, Kraszewskim, Korzeniowskim, Rzewuskim, Chodzką zwycięzko odparła. Zaraza złego niebezpieczna, czasami śmiertelną się staje, zaraza dobrego może rzadsza, ale błoga, przywraca do zdrowia, do siły, do życia. Za przykładem księżnej W... poszła stolica, popchnięta nowością i modą, poszli wiejskich ustroń mieszkańce z przekonania.

Odtąd u nas literatura krajowa odżyła, stała się potrzebą;

jeżeli się romans jaki francuzki zabląkał, to tylko popasał po drodze; jeżeli jeszcze kiedy niekiedy z Autorką Lelij się spotkałeś, to chyba na stoliku modnej Lwicy; ... a chwała Bogu, rzadkie u nas menażerye, równikowych stref mieszkańce nie wiodą się w naszym zimnym klimacie.

Hrabia Firlej od dawna szczylił się przyjaźnią księżną W..., przymuszony dla interesów przepędzić zimę w Warszawie, jej opiece żonę powierzył. Maryą strzegła miłość małżeńska, osłaniało skrzydło przyjaźni.

Karnawał się skończył, po tańcach nastąpił odpoczynek, a świetne wieczory zajęły miejsce hucznych balów. Marya wciągnięta do wiru wielkiego świata, bywając wszędzie, zamknąć domu swojego nie mogła; w poście zatem obrawszy sobie dzień jeden w tygodniu, w nim nieliczne, ale dobrane towarzystwo przyjmować zaczęła.

W kilku pokojach gustownie ubranych, rzęsiście oświetlonych, znajdowało się osób kilkadziesiąt samego kwiatu wyższego towarzystwa warszawskiego, to co w Wiedniu niegdyś *la crème crème* nazywano, a na język polski »korzuszkim od śmietanki« przetłomaczyć się daje.

W pierwszym salonie nie tylko starsi wiekiem, ale młodzież, a nawet kobiet kilka zasiadło do czterech stolików gierasza. W drugim kilka panien w zdłuż i w szerz spacerują same, bo choć młode, ładne, niektóre posażne, jednak młodzi ludzie nie przysuwają się do nich; bojaźń uchodzenia za konkurentów, występowania na scenę przemaga; wolą zostać za kulissami. W trzecim salonie, którego izbą wyższą nazwę, księżna W... obok Maryi, z kilku osobami znakomitego wykształcenia, z których pier-

wsza co tylko z Rzymu, druga z długiej wędrówki po zamorskich krajach wróciła, trzecia jedno z pierwszych miejsc w uczonym trzymam zawodzie, przyjemną i uczoną prowadzą rozmowę.

Po drugiej stronie pokoju kilka ładnych kobiet otacza grono mężczyzn, cała arystokracja imienia, znaczenia, oraz mody i pieniędzy. Do dwóch pierwszych trzecia przez sympatyą częstokroć przypuszczoną bywa, a czwarta sobie do nich złotym kluczem otwiera wrota.

Pan minister rozciągnięty na krześle, anegdotami z czasów Ludwika XV. stara się towarzystwo zabawić; dalej młode hrabiątko, co tylko z Paryża ojczystej ziemi wrócone, chciałoby opowiadać, co widziało, ale nie wiele widziało, nie nie zyskało, dużo straciło. Jeden rok przepędzony w stolicy Francji i jedna zima przeponiterowana pomiędzy warszawską młodzieżą w angielskim hotelu, straciły wioskę kilka. Cały spadek po antenatach kupił Zweimund, dawniej faktor warszawski, dziś bogaty kapitalista i posiadacz dóbr ziemskich. Obok hrabiątka pan de Lewi, nasz wyższego tonu bankier, opisuje bal dany w przeszłym roku przez jego żonę w Karlsbadzie, dla księżnej panującej von Rudolstadt-Sigmaringen; napomyka nieznacznie, iż był przyjętym do Jockey-Klubu w Paryżu, i dodaje, że Baron Rothschild spacerując z nim w ogrodzie Tuilleries, nazywał go zawsze: mon cher ami.

Pan Alfons szkół podobno nie skończył, ale powiadają, że za granicą był w akademii w Salamonce, nie umiał lub zapomniał mówić po polsku, ale ekspedyte po francuzku rozprawia i utrzymuje, że nie masz na świecie jak język hiszpański. Ojciec mu piękną wieś wypuścił nad brzegami Wisły, on jednak żuławskie krowy, hiszpańskimi bykami chce zastąpić, a spacerując po nad

brzegami naszej rodzinnej rzeki, wdycha za błotnistym Monca-neressem. U niego nie masz piękności nad Izabellę hiszpańską, nie masz miasta nad Madryt, nie masz tańca nad kaczącę, nie masz potrawy nad Olępotrydę, nie masz widowiska nad walkę byków, nie masz rycerza nad Don Quiszota! Generał od konnicy strategicznie opowiada kampanją węgierską. Sekretarz poselstwa roz-wodzi się nad konieczną zmianą ministerstwa angielskiego, prze-widuje cesarstwo we Francyi. Pan Edmund siedząc za panią Emi-lią, wszystko chwali, unosi się nad wszystkiem, i nad anegdo-tami ministra i nad skarbami Rothszylda; znajduje, że hrabiątka żabot i mankiety batystowe nieporównanej roboty, razem z Alfon-sem przekłada Don Quiszota nad Aleksandra, Cezara, Napoleona; potakuje Geratowi, zdanie sekretarza poselstwa podziela; na wszy-stko „ah! que c'est joli, charment, delicieux!“ powtarza; — pan Edmund słodki, lipki, miodowaty. (Wyrażenie wzięte z Francu-skiego; widać, że dotąd znane u nas nie było.

Przy kominie na małej kanapie Wanda obok Matyldy; pier-wsza się gniewa na Maryą, Purytanką ją nazywa, za to, że nie pozwala u siebie palić cygara, że się opiera podbojom owęj eman-cypowanej mody. Druga szuka ideału, znaleźć go nie może i z Lelją powtarza:

„Hélas! que d'Univers j'ai parcourus dans ces voyages de Fame!“

Na próżno pan Apolinary chciałby uspokoić pierwszą, ofia-rując jej cygaretkę, par contrebande, napróżno prezes z Wandą na harc występuje, goni na ostrze; burza trwa ciągle, rozstę-pują się chmury, tęcza jeszcze nie błysnęła na niebie.

Są chwile, w których mimowolne znużenie odbiera siły ży-

wotne; są chwile, w których w towarzystwie najrozumniejszych, najdowcipniejszych nawet ludzi, mimowolne znudzenie górę brać zaczyna; rozum ociążałym się staje, dowcip tępieje, rozmowa dogorywa, twarze się przedłużają i bledną, oczy przymkają, i nie jedno ziewnięcie grzeczność zaledwo przytłumić zdoła. Nim rzeczy do tego dojdą stopnia, rozumna i doświadczona gospodyni domu, jak ów biegły generał znający na pamięć wszelkie fortele strategii, coś nowego, nadspodziewanego, nadzwyczajnego, raptem wymyśleć, i tym jak galwaniczną siłą, ożywić rozum, wzniecić dowcip, twarzom rumieniec, oczom blask, zasypiającym znudów uśmiech, wesołość i życie przywrócić powinna. Nieobeznana z tajemnicami podobnej teoryi, już Marya spostrzegła, że rozmowa zwolna gasnąć zaczynała, a w chwilowych przerwach słychać tylko było z pierwszego pokoju: gram w pik, w karo, bez atout, cztery honory, daliśmy szlema. W tak krytycznym położeniu, kiedy dowódzca głowę traci, rady sobie dać niemoże, niechaj mu doświadczony sprzymierzeniec przyjdzie w pomoc, wszystko naprawić i zwycięztwo jeszcze otrzymać potrafi. Takiego sprzymierzeńca Marya w księżnie W... znalazła. Oswojona ze światem, świadoma, że tak powiem, wszelkich kaprysów serca ludzkiego, spostrzegła niebezpieczeństwo, a biegnąc w pomoc przyjaźni: „Móji panowie,“ zawołała, „za pozwoleniem kochanej naszej gospodyni, chociaż się już nagadaliśmy do woli, niejednen przedmiot wyczerpali, gdy jednak każde z nas ma jeszcze o coś się zapytać, a o odpowiedź trudno nie będzie, wnoszę, abyśmy w sekretarza zagrali. Od lat kilkunastu gra pytań i odpowiedzi zarzucona, zapomniana w Warszawie, stała się poniekąd nowością. Na wezwanie księżnej, ocknęli się wszy

scy. Jedni z miejsc powstałi, drudzy popralili się na stołkach, panny z drugiego pokoju przybiegły, gracze nawet, zawieszenie broni zawarli. Przygotowano papier, pióra, atrament, a każdy ożywiony, obudzony, ciekawością znęcony, rzucił się w zawód, kędy miłość własna znajduje pokarm dla siebie, kędy niejedno pytanie zręcznie podsunięte wiele czasem znaczy, a odpowiedź na dwie strony tłómaczyć się daje.

Przez czas niejaki gwar ustał, każdy się męczy, smarzy, wysadza; umysłowe zajęcie wzięło górę. Ten chodząc po pokoju, pragnie się z jaką myślą napotkać, tamten jęj szuka temperując albo gryząc pióro; ten pióro macza w żółci, ta w sereu, ów po prostu w atramencie; tu w pytaniu prośba, tam w odpowiedzi nadzieja! Panny złożyły naradę, o co się zapytać, co odpowiedzieć? Wanda w swoim żywiole ostrzy pazurki, Matylda szuka natchnienia, minister przypomina sobie odpowiedź księcia de Richelieu, i aby dobrze przypadła, sam sobie pytanie zadaje. Apolinary pyta pana profesora, czy żądza pisze się przez *ż*, lub przez *rz*, bo grammatyki któż się teraz uczy?

Już na wszystkie odpowiedziano pytania, karteczki zwinięto, do kryształowego wazonu wrzucono. Prezes jednomyślnie sekretarzem obrany, zasiadł w wygodnym krześle, a otoczony ciekawemi w koło, karteczkę po karteczce rozwija i czyta:

Pytan.: Jaka zachodzi różnica między uwagą a roztargnieniem?

Odpowiedź: Uwaga zbiera i zapisuje najmniejsze drobiazgi, roztargnienie od siebie odpycha i upuszcza złoto i klejnoty.

Pytanie: Jaka różnica między przebaczeniem a zapomnieniem.

Odpowiedź: Rozum urazy przebacza, zapomina serce.

Pytanie: Dla czego tak rzadko oddają pożyczone książki?

Odpowiedź: Bo daleko łatwiej zatrzymać książkę, jak to, co się w niej znajduje.

Pytanie: Czém jest złudzenie?

Odpowiedź: Spadającą gwiazdą.

Pytanie: Jaka zachodzi różnica między basetlą, a Warszawską Elegantką?

Odpowiedź: Pierwsza musi się stroić, a druga lubi się stroić.

Pytanie: Jaka różnica między raną cielesną a raną moralną?

Odpowiedź: Z ranionego ciała płynie krew, z ranionego serca płyną łzy.

Pytanie: Czém życie bez kobiety?

Odpowiedź: Początek bez opieki, środek bez rozkoszy, koniec bez pociechy.

Pytanie: Dla czego czarna odzierz jest dzisiaj zwyczajnym ubraniem mężczyzn?

Odpowiedź: Skoro skłniąca zbroja stała się bezużyteczną, a bogata barwa z ramion spadła; skoro rzeczywistość odebrała marzenie, ze snu przebudziła, człowiek przybrał czarną szatę, za tową przeszłości!

Pytanie: Dla czego Rzewuski dla wielu jest solą w oku?

Odpowiedź: Gdyby nie miał dowcipu, nie byłby solą.

Pytanie: Kiedy kobieta najsilniej kocha?

Odpowiedź: Raz pierwszy i ostatni.

„Bardzo przepraszam,“ przerwała Wanda, „ja znajduję, że kobieta wtedy zawsze najsilniej kocha, kiedy kocha.“

„Hereux ceux qui peuvent aimer! odezwała się Matylda.

„Czemuż nie powiedziała,“ rzekł prezes, „szczęśliwi ci, co kochają bliźniego jak siebie samego,“ i na nowo czytać zaczął.

Pytanie: Czém jest szczęście?

Odpowiedź: Szczęście podobne do toczącej się kuli, gonimy za nią, a skoro się tylko zatrzyma, odpychamy ją nogą.

Pytanie: Czém jest stary żołnierz?

Odpowiedź: Jest to obraz, są to dzieje!

Generał obecny, biorąc to za komplement do siebie, podniósł się z miejsca i podziękował.

Pytanie: Czém się różni dobre imie od sławy?

Odpowiedź: Dobre imie podobne do majątku, potem czoła nabytego; sława, do majątku wygranego w karty lub na loteryi.

Pytanie: Czém jest myśl?

Odpowiedź: Jest drabiną Jakuba, po której z ziemi wznosimy się do nieba, a z nieba schodzimy na ziemię.

Pytanie: Czém jest trudność?

Odpowiedź: Możliwością z przeszkodą.

Pytanie: Czém jest jutro?

Odpowiedź: Od jutra dzieje czekają wyroku, od jutra serce wspomnienie zaczyna.

„Ja wolę dzisiaj od jutra,“ odezwała się Emilja, do obok stojącego Hrabiego Firlej. „Pomnij tylko pani,“ odpowiedział jój hrabia, „że twoje dzisiaj było wczoraj jutrem. Biada temu!“ dodał z westchnieniem, „kto już niema jutra!“ w tém rzuciwszy okiem wkoło siebie, spotkał się z wejrzeniem żony, i w jój oczach znalazł czego szukał.

Pytanie: Czém jest kłamca?

Odpowiedź: Tchórzem. Kto śmie prawdę mówić, ten kłamać nie będzie.

Pytanie: Dla czego odgłos dzwonu pociesza?

Odpowiedź: Bo serce przemawia.

Pytanie: Jaka różnica między kardynałem de Richelieu, a księciem tego imienia?

Odpowiedź: Pierwszy mężom głowy ścinał, a drugi żonom głowy zawracał.

Brawo! brawo! panie ministrze, odezwała się Emilja, ale niestety! już te czasy minęły.

Pytanie: Gdzie siedlisko duszy?

Odpowiedź: Tchórze dowodzą, że na ramieniu.

Pytanie: Dla czego w budowie ciała głowa człowieka wyżej serca?

Odpowiedź: Aby głowa rządziła sercem.

Pytanie: Dla czego stara kobieta, kiedy już kochać nie może, lubi jeszcze o miłości rozprawiać?

Odpowiedź: Podobna do tego starego furmana, który kiedy już nie może powozić, lubi jeszcze z bieżą trzaskać.

Prezes przestał czytać. „Jako czy już koniec?“ zapytało kilka osób z żalem. „Jeszcze jedno pytanie znalazłem,“ odpowiedział, „będzie to bukiet całego fajerwerku naszego dowcipu, a na domiar, wszak to są wiersze.

Pytanie: Czemuż się duszą wznoszę aż do niebios szczytu?

Odpowiedź: Ostrożnie, bo się dotkniesz głową do sufitu.

Brawo! brawo! doskonale! ze wszech stron zawołano. Nie jedno oczko na Matyldę spojrzęło, niejeden domysł samego sekretarza o odpowiedź posądził.

Księżna W..., chcąc aby się wieczór pod wpływem dobrego wrażenia zakończył, pierwsza opuściła towarzystwo. Za nią poszli drudzy, a schodząc ze schodów powtarzano ze wszech stron:

„Co za przyjemny przepędziliśmy wieczór, jak prędko upłynął, jak nam mile przeszedł.

Powoli rozeszli się goście, pogaszono światła, wróciło milczenie i cichość; wróciłże z nimi spokój, dawne szczęście domowe?

Już od lat kilkunastu, oswojeni zabawami rozlicznych rodzajów, różniących się między sobą uderzającą rozmaistością, widzieliśmy bale, maskarady, pikniki, reduty, kuligi, towarzyskie teatra i uczone poniedziałki, nieustępujące im piątki; widzieliśmy posiedzenia środowe i niedzielne poranki, widzieliśmy napełnione pokoje szukającymi rozrywki, szau, zapomnienia, a znajdującymi najczęściej niesmak i nudy. Widzieliśmy, w tych licznych urozmaiceniach zabicia czasu, wszędzie tańsamość, jednakową dążność, i ten cel tak naturalny a tak trudny do dopięcia: bawmy się! Szukamy zabawy, niepomni, iż chęć, życzenie, są tylko oczekiwaniem, nadzieją; a ich ziszczenie jest najczęściej smutnym przebudzeniem, zimną rzeczywistością. Wszystko zatem, czy z modą, czy z postępem smaku, podlega odmianie, jędnę tylko poniedziałkowe wieczory przetrwały lata i dotąd trwają.

Od lat kilkunastu u państwa N. co poniedziałek znajdziesz zgromadzenie uczonych i za uczonych uchodzących. Tam obok filozofa powieściopisarz, obok filozofki zimny matematyk, tu poeta, tam astronom, zoolog, humorysta, mecenas, wojskowy, dyplomata, doktor medycyny, artysta muzyczny, architekt, malarz, drukarz i aktor. Tam nieraz usłyszysz zbawienne słowo uczonego kapłana, ciekawe opowiadanie z dalekich krain wracającego wę-

drownika, tam każdy cudzoziemiec przez nasze przejeżdżający miasto zaproszonym bywa, tam ogólne zebranie całej arystokracji umysłowej, całego naukowego ruchu, krajowego postępu. Tam usłyszysz uczoną dyskusją, recenzją nowego dzieła, nową teatralną sztukę; usłyszysz dużo o rzeczach, mało o ludziach; gdyż obmowa, tam się nie wciska, o polityce nikt się nie odezwie, w karty nikt nie gra. Tam każdy krajowiec czy cudzoziemiec zarówno uważany, jednakowej gościnności doznaje.

Takiemy były poniedziałkowe wieczory u państwa N. od lat kilkunastu, takimi są dotąd, a jeżeli jaką odmianę w jednostojności przyjętej miła gospodyni wymyśli, jeżeli dobranym koncertem, przedstawieniem kilku scen z Fausta Göthe'go, lub dzwonu Szyllera, urozmaici swój wieczór, każdy jej pomysł nosi piętno dobrego smaku, ma użyteczność na celu, do naszej wdzięczności ma prawo.

W. dolnych pokojach ładnego apartamentu jednego z pałaców Warszawy, w poniedziałek, już od godziny siódmej wieczorem goście zgromadzać się zaczęli. Z przedpokoju wchodzisz do wytwornego salonu rześisto oświetlonego; ściany pokryte obrazami, mahoniowe meble, zwierciadła w złożonych ramach, ale ten pokój przechodnim pokojem; idźmy dalej.

W drugim, którego przybytkiem rozumu nazwiemy, na kanapie gotyckiej, zielonym safianem wybitej, siedzą dwie panie, te ilustracyami literatury naszej niech mi wolno będzie nazwać. Gospodyni domu obok nich na krześle. Na około okrągłego stolika, na którym widoki Krakowa, obok Wilczyńskiego wydania, Gazeta warszawska obok Warszawskiego dziennika, najnowsza powieść Korzeniowskiego obok Kordeckiego Kraszewskiego, osta-

tni numer Atheneum obok ostatniego numeru biblioteki warszawskiej. Pan minister rozmawia z księżną, i kiedy on występuje z pamiętnikami księcia de St. Simon, ona je zbija pamiętnikami Paska. Pan radzca dowodzi naszemu Paleontologowi, że morskie oko ma podziemną komunikacyą z morzem czarném, ale niestety trafił na niewiernego Tomasza. Młody filozof katolickiej szkoły walczy z młodą filozofką niemiecką, i kiedy on jęj serce pragnie nawrócić, ona mu głowę stara się zawrócić. Generał od kawaleryi dwom młodym panienkom dowodzi strategicznie wyższość dragonów nad huzarami. Pan Mecenas przytaczając ostatnią sprawę naszemu zoologowi, opowiada jak przeciwnika swojego złapał. „Złapałem,“ zawołał pan professor zrywając się z miejsca, „muchę! patrzcie panowie, co za piękny exemplarz.“

Pod oknem trzech męzczyzn średniego wieku rozmawiało z sobą, przypominali sobie przedstawienie Fausta Göthego i dzwonu Szyllera, w tymże samym pokoju dane, zastanawiali się nad polskiem tłumaczeniem tych wielkich poetów. „Nikt po polsku nie przełożył dotąd Göthego, jak Minasowicz Szyllera,“ jeden się z nich odezwał.

„Może dla tego,“ odpowie drugi, „że Szyller od Göthego łatwiejszy; ale powiedz mi,“ dodał, „jak uważasz tych dwóch pisarzy, jakie twoje o nich zdanie, jaką między nimi kładziesz różnicę.“

„Przyznam się,“ odrzekł pierwszy, „iż pod każdym względem przekładam Szyllera. On jest prawdziwym poetą, twórcy jego gienjusz szuka natchnienia we własném sercu, on sercem świat pojął, ludzi poznał, on sercem o nich sądzi. Göthe w ogromie swych wiadomości, w głębokiej erudycyi wypróbował to,

co tamten przeczuł. Szyller się urodził, Göthe się wyrobił poetą; Szyller był Niemcem, Göthe Kosmopolitą; Szyller kochał ojczyznę swoją, Göthe niby świat cały, a istotnie siebie. Szyller był nieszczęśliwym, ubogim, słabego zdrowia, żył lat trzydzieści cztery; Göthe był szczęśliwym, bogatym, czerstwym, żył lat osmdziesiąt. Szyller był królem poetów, Göthe był poetą królów!“

„We wszystkim,“ odezwał się trzeci, „zdanie pańskie podzielam. Czemże bowiem jest poezya? jękiem z bolącego serca; poeta łzami się karmi, potrzebuje tęsknoty, żalu, cierpienia! Ten zaś komu los wszystkiego hojnie udzielił, człowiek bogaty, móżny, posiadający jeden z pierwszych urzędów w kraju, okryty orderami, odbierający za życia cześć od królów, hołd od ludów, ten, mówię, nie odda cierpienia, bo go nie rozumie, łzy cudze go nie poruszają, bo sam nie płakał; ten może być najpierwszym mędrcom na świecie, ale najpierwszym poetą nie będzie. Poeta długo żyć nie może, gdyż poezya życie trawi, jest wolną gorączką, prowadzącą do grobu. To mi przypomina porównanie, jakie między Göthem a Szyllerem nieodżałowanej pamięci Józef Minasowicz zrobił:

Różną, jednak nie równą zyskali zaletę,
Szyller czuciem świat poznał, pojęciem czuł Göthe.“

„Ideal w urzeczywistnieniu, jest to artystyczne przedstawienie onego w dziele sztuki, — powiedział pan L... w Estetyce swojej, a pan co na to mówisz?“ zapytała pani N., nachylając się z lekka ku sąsiadowi swojemu po prawej siedzącemu stronie. Mały, suchy, nie pierwszej młodości, takim był pan X., jój sąsiad; z okiem pełnym ognia, uniesienia, z piersiami ciągle robiącymi, jakby za

nadto lub za mało tchu w nich było; z ustami na pół otwartemi, jak gdyby chciał ciągle mówić; w nieustającym ruchu ciała, jak gdyby ruchem chciał popierać słowa. „Prawdę powiedział autor w Estetyce,“ zawołał, „on również utrzymuje: iż piękność sztuki zrodziła się z ducha, i z ducha się odradza; w czym także się z nim zgadzam, jednak nie lubię tego pisarza; on przełożył Estetykę Hegla, a kto z kim przestaje, takim się staje.“ „Proszę ciszej,“ pozerwała mu z uśmiechem pani N., „móglby ciebie pan Erazm usłyszyć.“ „Nie lękam się pana Erazma i jego piorunów.“ „Ale się lękasz spojrzenia pani Cecylii,“ odezwała się pani Katarzyna. „To co innego,“ odpowiedział zapytany, pani Cecylia do przekonania mi trafia.“ „Wszak przekonanie,“ przerwała pani Katarzyna, „znajduje się w jednej z komórek sercowych?“

Tak jak dusza pokarmu, ciało potrzebuje posiłku. Otworzyły się podwoje, wniesiono ogromne tace z herbatą, z ciastami, z szynką, ozorem, butersznitami. Rozmowy przerwano, wrócono do rzeczywistości życia, do zaspokojenia potrzeb żołądka. Ta pije herbatę, tamta limoniadę, owa lekki ponczyk ciągnie; mężczyźni rzucili się do jadła, jedni od niechcenia, drudzy z natargiwością głodu. Przez czas niejaki ustały rozmowy, rozum onie miał, wstydem zapłonął; słyhać tylko szczełk talerzy, chrzęst sztucców, brzęk szklanek i kieliszków, kiedy niekiedy odgłos wyskakującego korka z butelki. Rozruch i zamieszanie, jeden drugiego popycha, nie słucha, nie słyszy, bo wrzawa coraz się wzmaga, coraz hałaśliwszą się staje. Nakoniec wyniesiono jedzenie, wraca porządek, z wolna gwar ustaje; błysnęły ognie, kobiety i mężczyźni bez wyjątku prawie pozapalali cygara. Cygara, emancytowana moda dziewiętnastego stulecia, której dawna przy-

zwoitość wyższego towarzystwa praw swoich ustąpić musiała; moda puszczenia wszystkiego z dymem.

Kiedy dym unosił się w górę, wzbijał w obłoki, gości zostawić w rzeczywistości życia, nadto byłoby poziomem; dla tego też pani N. swój poniedziałek poezją umyśliła zakończyć. Wszyscy naznaczone zajęli miejsca, nastąpiło milczenie, oczekiwanie.

Kilkonastoletnia dziewica niepospolitego talentu na dany sobie przedmiot o malarstwie improwizować miała. Rozstąpiły się czarne kłęby dymu, ujrzano jasnowłosą głowę natchnionej Deotymy. Jakby okoloną chmurami, kiedy dzwięcznym głosem improwizacją zaczęła.

Porównawszy nasamprzód malarstwo z poezją i muzyką, te trzy siostry tajemniczym węzłem połączone z sobą, przystąpiła do malarstwa. „Malarz,“ rzekła, „trzyma w ręku swoim przeszłość, terażniejszość i przyszłość; a twórczym gienjuszem oddaje co było, co jest i co będzie.“

Patrz, na obszerném polu toczy się krwawa bitwa, rycerz z rycerzem się sciera, goni na ostrze, walczy, trupy padają, krew się leje. Trąba wojenna się odzywa, ziemia zatętniała, przełamane szyki pierzchają. Za niemi gonią zwycięzcy, na ich czele królów kilku, a na stalistój zbroi każdego znak krzyża; są to rycerze krzyżowi. Zgnębiona potęga niewiernych, a tam na górze z daleka widać miasto święte, Jerozolimę. Jest to ginąca w pomroce wieków przeszłość!

Ponad brzegiem krągłego strumienia wznosi się mały schludny domek drzewniany, pokryty słomą, dęb stuletni osłania go swemi konary, dokoła ogród kwiatowy otacza, na łące dwie krowy się pasą. Przed domem matka siedząc na ławce, na koło-

wrotku przędzie. Ojciec powraca z pola, spostrzegły go dzieci, biegną na jego spotkanie, ale je pies, wierny sługa, uprzedził, już ogonem i radością w oku pańa swojego wita. Dzień ma się ku końcowi, wszędzie spokojnie, wesoło i błogo, ostatnie nawet promienia zachodzącego słońca zdają się błogosławić szczęściu domowemu. Nie jestże to obrazem rzeczywistego życia terażniejszości?

Wchodzę do kościoła, już było po nabożeństwie, kościół był pusty i kilku jeszcze pobożnych na klęczkach domawiało modlitwy. Nad ołtarzem, kędy przed chwilą ofiara pańska się odbywała, kędy już pogaszono światło, obraz; patrzę: na górze kalwaryi odwalony grobowy kamień, przelekniona zgraja wartujących żołnierzy olśniona nagłą światłością oczy rękami zasłania; przytomni padli twarzą na ziemię, a nad grobem otwartym zbawiciel otoczony chórem aniołów unosi się w niebiosa! Twarz jego pełna słodyczy i boskiego spokoju ziemską porzuciła powłokę, co wycierpiał, pozostawia żalem w sercach pozostałych na ziemi, umarł na krzyżu dla odkupienia rodu ludzkiego, teraz mu niebo otwiera! Błogosławieni ci, którzy wierzą, niebo im otworzone będzie, jest to przyszłość nasza! Mistrzu, oddałeś, co było, co jest i co będzie!

Dziewica przestała mówić, a grzmot oklasków okrył jój słowa. Jeden tylko ze słuchaczy zasępiiony milczał. Nie doznał powszechnego wrażenia, nie dzielił powszechnego usienienia, bo się myślał przeniósł w owe czasy, kiedy przed dwudziestu kilku laty nasz wieszcz pełen młodości, siły i życia, zawód pełen chwały zaczynał; i przebiegłszy éwierć wieku ujrzał go znowu w dalekiej krainie, zgrzybiałego przed czasem, przed czasem okrytego

siwizną. Mileżąca lutnia, rozstrojona, wisiała na ścianie, a jeżeli czasami powiew rodzinny, burzą na zachód zaniesiony po jej strunach przeleciał, wydała jęk przeciągły, ale w tym jęku była skarga, żal, tęsknota!

Temu lat kilka całe towarzystwo mężczyzn uczęszczających dom pani N., chcąc dzień jej imienin obchodzić, urządziło piknik, na którego zaproszoną została przez wyznaczoną deputacyą mającą na swoim czele Józefa Minasowicza. Solenizantka zaproszenie nie przyjęła, czyniąc uwagę, że w czasach, w których żyjemy, szkoda tylu pieniędzy, straconych na jedną ucztę, na chwil kilka wesołości, dodając, że jeżeli jej wolno rozrządzać tém co na uczczenie jej imienin przeznaczoném zostało, uprasza ażeby całą składkę obrócono na przełożenie na język polski i wydrukowanie dzieł nieśmiertelnej pamięci Kopernika. „Wydzierają go nam obcy, dajmy dowód, że go cenić umiemy, żeśmy godni, aby Polakiem pozostał.“

„Siedm tygodni wielkiego postu, jakże to długo, to się nigdy nie skończy!“ powtarzają ci, co się długości czasu lękają, nie mają czém go zappełnić, chcieliby go zabić, nudzą się. A jednak, jakże czas prędko mija! Jakże często na próżno usiłujemy go zatrzymać! Mija prędko w mieście wśród tłumu, gwaru, zabaw, rozmaitości, ale żadnego po sobie nie zostawia śladu, mija prędko pracowitemu człowiekowi, a owoc pracy przynosi w spuściznie, mija najprędzej w szczęściu domowém, kiedy dzień dniu podobny, kiedy każda zmiana, każda przeszkoda, zdaje się chmurką na niebie! Jeżeli próżnowanie znajduje czas za długim, jak

się powoli ciągnie dla tego co cierpi, dla tego co tęskni, dla tego co stracił nadzieję!

W Warszawie już od bardzo dawna, przy końcu wielkiego postu, zawsze się odbywały kwesty po domach i w kościołach. Panie nasze ubiegały się o tę utrudzającą i nieraz przykrą posługę, a obfity plon uzbierany dla biednych stawał się nadgodną położonej pracy. Bywały czasy, kiedy każda z kwestarek secinami czerwonych złotych kwestę swoją liczyła, kiedy ta nieraz i do tysiąca dochodzić mogła; kiedy rzucić na tacę garść złota, było zwyczajną rzeczą dla majątnego młodzieńca, któren dziś woli ją stawić na kartę, lub ofiarować jakiejś ładnej Sylfidzie. Minęły owe czasy obfitości i hojności razem, kiedy dużo dawano, z przekonania, z pobożności, z dobrego serca, a chociaż do tego nieraz fantazyja pańska a najczęściej próżność się wmieszała; mieli co dawać, dawali. My mniej mamy, a chętnie dajemy; dobre czasy minęły, ale dobroczynność pomiędzy nami pozostała.

W bieżącym roku, gdy przyszło do wyboru kwestarek, Maryja Firlej niemogła się wymówić od udziału w tak dobroczynnym poświęceniu siebie. Pierwszych dni miesiąca kwietnia, na samym początku wielkiego tygodnia, w pogodny chociaż zimny ranek, oparta na ramieniu męża, w towarzystwie bliskiej krewniej, otoczona kilku przyjaciółmi, zaczęła pielgrzymkę, której celem uzbieranie dla ubogich jak najwięcej pieniędzy, a korzyścią, poznanie wnętrza każdej klasy mieszkańców miasta, począwszy od pałacu pierwszego magnata aż do niskiej strzechy najuboższego nadwiślanego rybaka.

Jeżeli w każdej odmienniej okoliczności, w każdym różniącym się położeniu, po każdym wypadku, zajrzeć w serce człowieka

jest arcyważną nauką, niemniej użytecznym, ciekawym, zapoznać się o każdej porze dnia z wewnętrznym trybem życia każdego stanu mieszkańców wielkiego miasta. W pierwszym razie odkrywamy temperament i charakter człowieka, w drugim poznamy każdego stanu zwyczaje, a w nich postęp oświaty, wpływ obczyzny, zastarzałe zabobony, i kiedy niekiedy przechowane podanie. W pierwszym razie, ileż to niepohamowanych namiętności, popsucia, obok szlachetnych i wzniosłych uczuć, ileż brudu i kału obok złota i klejnotów; w drugim znajdziemy w złocistych komnatach obok wspaniałości, hojności, dobroczynności, owych cnot praocjów naszych, marnotrawstwo lub skąpstwo, dumę lub podłość, znajdziemy w średnim stanie uczciwy przemysł obok frymarki i lichwy; znajdziemy w rzemieślniczym z potem czoła zarobiony kawałek chleba, obok próżnowania i pijaństwa, znajdziemy u najprostszego a zarazem najuboższego wyrobnika najczęściej pracowitość, zdanie się na wolę Boską, cierpliwość i wiarę! Znajdziemy wszędzie złe obok dobrego, ale z chlubą wyznać należy, że dobre jest, a złe jest jeszcze.

W wielkich miastach ohydny bezwstyd lub zepsucie zarówno się okrywa, aksamitem i jedwabiem, jak brudnym łachmanem, kiedy pod niską strzechą lub pod wysokim strychem kryje się nieraz enota, i wstydząca się nędza.

Nasze kwestarki, wysłuchawszy mszy świętej w najbliższym kościele, puściły się z całą odwagą tak fizyczną jak moralną, na pracowitą pod każdym względem wędrowkę. Już kilka pomniejszych zwiedziły domów, do kilku wstąpiły sklepów, a wszędzie dobrze przyjęte, nigdzie nieodebrały odmowy. Każdy dawał chętnie, dawał w miarę możliwości, a karbona ubogich zaczynała się

napelniać. Już niejedna kucharka idąca do miasta z koszykiem dała grosz na ubogich, niejeden biuralista zatrzymał się przed kwestującymi, dobył sakiewki, wyjął z niej złotówkę i ofiarował z uśmiechem; niejeden student oddał co miał przeznaczone na ciasteczka.

Moja Jójmościćko, zawołała na Maryją, przekupka ze straganu, prosimy nas nie omijać; u nas niebogato, nie złocisto, ale znajdzie się i grosik dla biednych. I kiedy Czesław wynadgradzając dobre serce straganiarki, chciał u niej kupić kilka jabłek zimowych, piernika i świętojańskie różki; ta podkasawszy zpić spudnie, dostała się nakoniec do kieszeni, dobyła z niej trzy grosze i oddając Maryj: „to dla ubogich,“ rzekła, „a co ten Jegomość chciał kupić, niech będzie dla Jójmościćki za fatygę, za to, że się tak męczysz, chodząc po bruku a czasami aż na czwarte piętro, i to z tak małemi nóżkami, że ja nierozumiem, jak się co chwila nie obalasz.“ Maryja mile podziękowawszy przekupce weszła do pobliskiej kamienicy.

Na pierwszém piętrze znalazła drzwi zamknięte, zadzwoniła. Jakaś chuda, już nie młoda, skrzywiona służąca otworzyła: Nie masz nikogo,“ cierpko zawołała i drzwi przed nosem zamknąć chciała, gdy nasze kwestujące towarzystwo, zwolna posuwając się naprzód, weszło do pokoju. Z bocznych drzwi niegościnnie gruby szpic wybiegłszy, nielitościwie szczekać zaczął. Nie zważały na to kwestarki, a idąc naprzód za cofającym się szpicem, weszły do porządnego i dobrze umeblowanego salonu. Ale te stołki i kanapy płucieniami nawleczkami, obrazy i lustra ptyfeniem, podłoga ceratowym dywanikiem do przejścia, pokryte; ale te okna do połowy zapuszczone, bez firanek, a na każdym,

między dwoma wazonami Geranjum, szklanka z trucizną na muchy, a w każdym kącie pokoju kraszuarka napelniona trocinami, a wszędzie wykadzono bursztynem; to wszystko nie wielką korzyść rokowało dla kwesty. Nie widziałeś tu ani skąpstwa, ani braku, zdawało się jednak, że na tych stołkach nikt nigdy nie usiadł, że po téj tak czystej podłodze nikt nigdy nie chodził, że z tych drzwi nigdy nie wyszły ani litość, ani współczucie, ani dobry uczynek; że przez nie nigdy nie weszły wdzięczność, dobre słowo, Bóg zapłać!

Przy bocznej ścianie siedział na kanapie mężczyzna średniego wieku, chuderlawy. Płowemi, zyzującemi oczami, zdawał się z zadowoleniem spoglądać na nos zakrzywiony, dążący do połączenia się ze śpiczastozadartą brodą. W porządnym jedwabnym szlafroku, w czapeczce włóczkami haftowanej na głowie, w takichże pantoflach. Przed nim stół nakryty serwetą szarą w ponsowe kwiaty, a na stole zastawione śniadanie: kawa, śmietanka, świeże masło, bułki, sucharki, szynka pokrajana w cienkie talerzyki i jajka na miękko. Na widok kwestarek, nie ruszył się z miejsca, nie uklonił; zapytał tylko: „Czego panie chcecie?“ „Kwestujemy na ubogich,“ odpowiedziała Marya, „prosimy o udzielenie nam co łaska.“ „Na próżno moje panie, zawitałyście do mnie,“ precedził przez zęby, „nie nie dostaniecie, mam ja swoich ubogich, a kwest publicznych nie mam zwyczaju zasilać. Dziwno mi nawet, jak tak porządne osoby podejmują się nękania publiczności, tak niedorzecznym i narzuconym haraczem?“ „Możesz pan nic nie dać,“ rzekła Marya, cofając się ku drzwiom, „ale dar dobrowolny, pochodzący z serca, nie masz prawa, narzuconym haraczem nazywać.“ „Przepraszam, kłaniam, życzę pomyślności,“

pozerwał jój samolub, zdejmując czapeczkę z głowy. „A my na wzajem,“ odezwali się wszyscy, „życzymy panu dobrego apetytu i szczęśliwej strawności.“

Schodząc ze schodów, spotkali domowego stróża; ten ich zatrzymał, a ofiarując groszaka: „Na coście państwo chodzili do tego łapigrosza?“ zawołał. On śpi na pieniądzech, bawi się lichwą, a umierającemu z głodu nie da feniga. Brat jego utrzymuje dorózkę i z tego żyje z żoną i z dziećmi. Nie dawno straciwszy konia, przyszedł do brata o pożyczanie kilkudziesięciu talarów na kupienie innego; prosił, zaklinał, płakał, nic nie pomogło, braciszek nic mu nie dał, a sam to sobie niczego nieodmawia, ani jadła, ani napitku. Jeżeli komu pożyczyci pieniędzy, to od rubla bierze złotówkę procentu na miesiąc, i to na zastaw, a gdy kto nie wykupi zastawu, to on go drugiemu sprzedaje, chociaż na kredyt, ale za dubelt wartości. Takie nieboskie stworzenie, to gorsze od dzikiego zwierzęcia; zwier zagryzie i śmierć, a ten żyjącego obdziera ze skóry.“

W tymże samym domu na dole była szynkownia, skoro do niej Marya drzwi otworzyła, zaduch wódki i tytoniu zatrzymał ją w samym progu. „Proszę drzwi zamykać,“ odezwał się głos chrapliwy szynkarki. Kwestujący weszli do środka. W obszernej kwadratowej, brudnej izbie, przy jednej ścianie stała szafa z półkami, na niej rozmaitego gatunku napoje w flaszках, butelkach, gąsiorkach. Przed szafą stół długi a wązki, niby bufet, zastawiony kieliszkami, szklankami, kufłami, blaszannemi kwartami i kwarterkami; obok stołu, na ligarach kufa z wódką i beczka z piwem. Za tą wyrychtowaną baterią główna kwartera szynkarki małej, pękatój, ani młodej, ani stariej; nie uczesanej, w cie-

mnym kaftaniku, w spudnicy niegdyś białej, opasanej czarnym fartuchem. Przy bocznych ścianach szynkowni, ławy, przed ławami stoły, na środku izby w zawieszonym u pułapu blaszanym świeczniku, parę nie dopalonych łojówek.

Przy jednym końcu ławy, obok pieca, siedziało dwóch wyrobników, leżały przy nich piła i siekiery; przed nimi na stole pół kwaterek wódki, kromka sera i kawał razowego chleba; idąc na robotę, na śniadanie wstąpili. Przy drugim końcu dwóch żołnierzy kurzyło smrodliwy bakun, nie pili, nie jedli, czekali może na benefaktora. Z przeciwnej strony kilku mężczyzn, z których jeden wyglądał na tragarza, drugi na chłopca od szewca, bo miał pod pachą parę starych butów, trzeci na łotra; czwarty między nimi był to dorożkarz, w płaszczu piaskowym z niebieskim kołnierzem, z czapką na głowie, z biczem w rękę; rozmawiali przy pół garcówce piwa. Baba z obwarzankami w koszu chodziła po izbie. Chłopiec mały z workiem na plecach drzwi otwierał, wołając: „piasku białego wiślanego.“

Gdy Czesław, stanąwszy po środku izby, z tém się odezwał, że na ubogich kwestują: „A tu po coś,“ zaperzona krzyknęła szynkarka, „tu się pieniądze nie dają, ale biorą, proszę się wynosić!“

„Milczałabyś czarnownico,“ zawołała, wyskakując z alkierza, gruba gospodyni, „poszła ztąd wyszczekana jędzo.“ Poczém przeprosiwszy kwestujących, otworzyła szufladę, wyjęła z niej złotówkę i ofiarowała z uśmiechem. Tragarze dali po groszu, szewczyk gębę rozdziawił, tragarz z miejsca się nie ruszył, łotr spojrział z poządlivością na worek, do którego Maryja złotówkę

i grosze włożyła, doróżkarz zdjął czapkę, a żołnierze stanęli frontem, bo im Czesław po kieliszku wódki dać rozkazał.

Skoro kwestarki do jednego z najmłodniejszych sklepów za-
szły, kupiec naprzeciw nim wybiegł, posadził na wygodnych
krzesłach i podczas gdy kupeczyki uwijając się, to rozkładali, to
pokazywali kupującym towary, pólimperyała złożył na kwestę
w ofierze. Tymczasem drzwi z jednej zwierciadlannój tafli nie-
zamykały się na chwilę, jedni wchodzili, wychodzili drudzy.
Ściany sklepu otoczone mahoniowemi za szkłem szafami, ubrane
były w tureckie szale, aksamity, i najdroższe materye pozawie-
szane w festony. Bronzowe lampy po bokach, alabastrowe u su-
fitu; kryształ, lustro, marmurowa posadzka wyłożona angielskim
dywanem, gotyckie kanapy i krzesła safianem wybite, zdawały
się inne przeznaczenie temu miejscu nadawać, zamieniały je
w modnój elegantki komnatę. Wychodzącą Maryją kupiec do
drzwi odprowadził i doniósł, że za dni kilka wyjeżdża na jar-
mark do Lipska, czeka na jój rozkazy.

Przed jednym domem stał komornik, pomimo mundurowego
zielonego surduta, szpady u boku, stosowanego kapelusza, wy-
glądał zupełnie na sądowego jastrzębia i nim był w istocie. Obok
niego dwóch adjutantów, czyli raczój obszarpanych drabiów.
Wynoszono zajęte przez nich sprzęty i odzienia. „Pono niemamy
po co tu wchodzić,“ odezwał się ktoś z kwestujących. „I ow-
szem,“ odpowiedziała Maryja, „obowiązkiem naszym nieopuszczać
żadnego miejsca, i nie potakiwać lenistwu wymówką: niewcho-
dźmy tu, bo nam nie nie dadzą.“ Właśnie ostatnią wynoszono
komodę, kiedy kwestarki przez roztwarte na rozcież drzwi we-
szły do pustego pokoju, a ztamtąd do drugiego, w którym nie

się innego nie znajdowało prócz łóżka z pościelą. Młody mężczyzna w szlafroku, z fajką w gębie, siedział na niem jak Maryusz na gruzach Kartaginy, a otoczony kłębam dymu, zastanawiał się może nad marnościami świata. Na widok wchodzących, zerwał się z miejsca, nieco zmieszany, a gdy się dowiedział o celu tak nadspodziewanych odwiedzin, dobywszy z kieszeni dukata i ofiarując go Maryi: „Pani darujesz za tak małą ofiarę,“ rzekł do niej, „ale jak widzisz, straciłem wszystko, wśród burzy, która tego ranku zawitała do mieszkania mojego; to są tylko uratowane rozbitki okrętu.“ „Uratowałeś Pan jeszcze kotwicę,“ odezwał się Czesław, kiedy nie tzcisz serca, humoru, nadziei!“

Przed samymi drzwiami wekslowego kantoru, kwestarki natpkały pana Izaaka, najbogatszego naszego bankiera. Poprosił je do środka, dobył z szuflady talara i ofiarował; a gdy mu nieznacznie przymawiała Maryja, że syn jego, mniej od niego bogaty, dał jej dukatów kilka, kiedy on jednego tylko rubla daje? „Moja pani hrabini,“ odpowiedział dobrodusznie pan Izaak, mój syn może dać więcej, bo ma bogatego ojca, a ja go nie miałem.“

Idąc jedną z pierwszych ulic miasta: „Wstąpmy teraz do Julii,“ rzekła Maryja do męża, wchodząc do bramy dwupiętrowego domu, „godzina dwunasta, może już nie śpi.“ Julja, pierwsza warszawska elegantka, zawołana piękność, sławna kokietka! Zwano ją królową miłości, od lat kilkunastu, a chociaż od dawna rozsądek abdykować radził, któż go słucha, kiedy się czuje na siłach, kiedy tego niewidzi, co drudzy zaczynają spostrzegać.

„Czy pani już wstała?“ zapytała Maryja kamerdynera

w przedpokoju. „Pani jeszcze w łóżku, ale przyjmuje,“ odpowiedział, otwierając z pośpiechem drzwi do salonu.

Towarzystwo nasze przeszło przez kilka pokoi, damy weszły do sypialnej komnaty, mężczyźni zostali we drzwiach otwartych, poczem nie znacznie weisnęli się dalej.

Ciemną firanką zasłonięte okno szarą godzinę, że tak powiem, tworzyło. Gdzie wszystkiego dostrzedz nie można, tam się domyślać potrzeba. „Dzień dobry, moje panie,“ rzekła Julja, przepraszam, że was tak przyjmuję, jestem słabą, migrena nieznosna, spać nie mogłam, a potem jeszcze tak rano!

Człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może. Można wśród dnia jasnego nie widzieć, można czasem rozpoznawać w ciemności. Śledzemi w koło rzuciwszy oczami, domysł ciekawością wiedziony, powoli odkrywać zaczął, przedarł pomrokę.

Sypialny pokój modnej Elegantki, coś osobnego, coś odrębnego zawiera w sobie. Nie szukaj tam wytworu, nie znajdziesz przymusu. Tam wszystko wybrane, wszystko smaku dobrego piętno na sobie nosi, naumyślny nieporządek, każda rzecz od niechcenia, ale na swoim miejscu.

Obraz Najświętszej Panny pędzla Trewizaniego, dwa portrety familijne, łączą myśl o Bogu z wspomnieniem o ludziach. Ten stół od pisania, kędy bronz, kryształ, marmur na przemiały o pierwszeństwo walczą, kędy odłam z gotyckiego domu w Puławach, różnobarwne przyciska papiery, gdzie popiersie Napoleona obok statuetki królowej Wiktoryi, ułomek z gzymsu pałacu Cezara obok chińskiego mandaryna, biust Koszutha lany z żelaza obok księcia prezydenta z gipsu, fotografia panny Rachel obok litografij Faustyna cesarza. Przy tym stole, Juljo

niejeden listek na *pelure d'oignon* pisałaś, tam na tém krześle gotyckim czekałaś na odpowiedź; niecierpliwość ciebie dręczyła, niepewność tobą miotła, serce twoje mocno biło; Juljo powiedz, dla czego? Na kanapie leżał ubiór wczorajszy. Na okrągłym stoliku, pierścionki, bransoletki, kolczyki, perły, klejnoty i wstążki pogniecione, powiędłe kwiaty, pośród nich niedopalone cygara.

Łóżko zieloną gazą na pół okryte, królowa wczorajszego wieczora spoczywała na niem. Temu chwil kilka odbierała jeszcze hołdy, u nóg jój palono kadzidła, składano ofiary czci i uwielbienia; tych chwil kilka minęło; czy wróca? Któraż światowa kobieta rzuci okiem w jutro? Łóżko Julij zasłane było kapelusami, czepeczkami, strojami, tu leżały otwarte pudełka z koronkami, tam z wstążkami, tu piora, pomiędzy niemi mała główka angielskiego wyżełka malowniczo się odbijała. Panna Wiktoryja z pękiem dzienników paryskich, stojąc obok swojej pani, to dawała zbawienne rady, to wybierała gustowne ubiory. Panna Wiktoryja, młoda, hoża, świeża, spojrziała na wchodzących gości, potem jakby z żalem na spuszczoną firankę. Często jedna traci, na czém druga zyskuje. Jest pewien wiek u kobiet, wtedy słońce razi, wtedy zdają się mówić: oczami duszy patrz tylko na mnie.

„Kochana Maryjo,“ rzekła Julja do wchodzącej hrabiny Firlej, „od wieków nie widziałam ciebie, ale powiedz mi szczerze, jak znajdujesz ten czepeczek? czy mnie w nim do twarzy?“ przymierzając go dodała. „A ten kapelusz? przywiozła go w tym tygodniu Adela z Paryża. Ta mantyla najnowsza, kolor jój, *princesse Waza*; jest to kolor mieniący, wnet może się zmienić na kolor cesarzowej Francuzów. Proszę obejrzyć tę baskirę, od Józefowiczowej i ten ciemny kaftan *à la Matilde*. Odwijano, prze-

wracano, przymierzano wszystko, i toby się nigdy nie było skończyło, gdyby hrabia nie był przypomniał żonie, że stracili półgodziny na niczem, a przyjęty obowiązek, gdzie indziej ich wzywał. Skoro Maryja napomknęła Julij o celu prawdziwym tych odwiedzin: „Wiktosiu, mon porte monnaie!“ zawołała niecierpliwie. Ale minęło kilka minut, nim go Wiktosia, przewróciwszy wszystko, przetrząsnąwszy pokój cały, na bocznym stołku pod stosem sukien znalazła. Co w niem było, Julja wysypała i ofiarowała Maryi; a było tylko złoto, bo jakiegoż innego metalu mogłyby się tak piękne dotknąć paluszki? Czesław schodząc ze schodów: „Zła głowa, rzekł do żony, całkiem nawet przewrócona, ale serce dobre.“

Na ulicy piwnej, w kamienicy, na trzecim piętrze, w izbie dosyć obszerniej, z pułapem zamiast sufitu, z zielonym piecem kaflowym, z kanapką okrytą dryliszkiem w kratki, z komodą między oknami, a na niej kilka porcelanowych filizanek, cztery szklanki z białego szkła i blaszana cukiernica żółto malowana. Nad komodą niewielkie lusterko w czeczolkowych ramach, pod spodem czterma świeczkami przybity arkusz papieru, na nim wymalowany wieniec z kwiatów a w śród wieńca, wiersze, pewnie na imieniny lub nowy rok, powinszowanie. W środku izby, na około okrągłego stołu, grubą ale czystą przykrytego bielizną, siedział średniego wieku szewc, w kurtce z szarego płutna, obok niego po lewej stronie ośmioletnia, ładna jak aniołek dziewczynka, z jasnymi włosami, z niebieskimi oczami, z buzią jak wisienka; za nią o lat trzy starszy braciszek w mundurku szkolnym, dalej dwóch czeladników; po prawej stronie szewca siedziała po prostu, ale ochędoźnie ubrana, jeszcze nie stara szewcowa; z wiel-

kiej farfuruwej misy przed nią stojącej, rozdawała krupnik z wołowego mięsa. Obok stał półgarcowy dzban szlacheckiego piwa, a przy nim leżał napoczęty bochen razowego chleba. Na widok wchodzących kwestarek zerwali się wszyscy od stołu a szewc posadziwszy kobiety na kanapie, widząc że zmęczone, częstował je piwem, poczem dobywszy ze skrzynki dwa złote: „Ludwisiu,“ zawołał na córeczkę, „oddaj ten pieniądz téj ładnej pani, co to kwestuje na uboższych od nas.“ Ludwisia z uśmiechem na ustach, cała czerwona, spełniła rozkaz ojca, i pieśzotami Maryi, oraz otaczającego ją grona okrytą została.

„Piękna, otwarta, szczerą twarz jój ojca, rozpromieniona była szczęściem. Hrabia Firlej wychodząc, ścisnąwszy pocziwego majstra za rękę: „Dziękujemy wam,“ rzekł do niego, „za dar pochodzący z serca, milszą Bogu ofiara ubogiego a pracowitego człowieka, jak złoto bogacza; oby potrzeba nigdy przez twoje progi nie przeszła, obyś w dzieciach znalazł pociechę i szczęście!“

Przed pałacem księcia X. stał szwajcar wąsaty w liberyi, w stosowanym kapeluszu z galonem, z wielką laską w ręku. „Jest książę w domu!“ zapytano. „Co tylko wyjechał,“ odpowiedział szwajcar. A jednak Czesław spostrzegł był księcia wyglądającego przez okno; wszedł więc do sieni, ale marszałek dworu wybiegł na jego spotkanie, potwierdzając, że książę co tylko wyjechał, dodając, iż rozkazał powiedzieć, skoro przyjdą kwestarki, że kwestę odeszle. Czy odesłał? bardzo wątpię, pono ją do przyszedłego roku odłożył.

U pani senatorowej oddano kwestarkom pięć złotych zapieczonego w kopercie z nadpisem: na kwestę.

Po biórach dostały dosyć, bo tam, gdzie się nikt ukryć nie może, ten daje z ochoty, tamten z prozopopei, ów wstydzi się odmówić, a jest ich dużo, dużo też talarków i złotych się n zbiera.

W gustowném, modném i eleganckim kawalerskim mieszkaniu przyjął pan Alfred kwestarki. Wprowadził je do pokoju, mały Grzesio, syn gajowego z pod Kałuszyna, przebrany za angielskiego Grooma. Duży o trzech oknach salon był cały wybity dywanem. Przy oknach firanki, a nadedrzwiiani zasłony z materji jedwabnej naśladowującej niebieski drylich używany na materace. Boczne ściany okryte sztychami, przedstawiającemi i naj słynniejsze wyścigi w Anglii, i naj sławniejsze kursowe konie. Na środkowej w gotyckiej ramie olejno malowana Nelly, owa klacz europejskiej sławy, duma, rozkosz i sława, tak znanego w Paryżu lorda Sejmur! Pod nią długa miękka sofa, bogatą makatą wybiła, obłożona mnóstwem poduszek jedwabiem i włóczkami haftowanych; około których nie jedna może piękna rączka pracowała. Przy bocznych ścianach, po jednej stronie doborowa zbrojownia myśliwska i amatorska; po drugiej wyszukana fajczernia z mnóstwem najmodniejszych lasek, biczów i pejczów. Między oknami stół od pisania, napełniony mnóstwem cacek, owych dziwotworów dziewiętnastego stulecia. Środek pokoju zajmował stół okrągły polisandrowy, a na nim dzienniki, albomy i książki w najmodniejszej oprawie, pomiędzy niemi Lola Montez en carton pierre, Liszt en guta-percha i koń arabski z brązu, mistrzowskiej roboty. W koło stołu porozrzucone krzesła wybite, kaźden innej barwy safianem. U sufitu alabastrowa lampa.

Alfred w jasno popielatym długim po kostki surducie, w pon-

sowych safjanowych trzewikach, szyja obwiązana grubą dywdykową chustką, wymawiał się przed damami odpoczywającymi w wygodnych krzesłach, że go w tak nieprzyzwoitym znalazły ubiorze, mężczyzn częstował cygarami, puros Hawanna, kacades, po pięćdziesiąt groszy sztuka. Gdy się domyślił, że wizyta była nie dla niego, ale dla ubogich, „Peko,“ zawołał na czarnego pudła, siedzącego przy drzwiach, jak na szyldwachu, „przynies mi pieniądze. Pudel wyszedł do drugiego pokoju, z kądem nosząc w zębach porte monnaie, zamiast go przynieść panu swojemu, przechodząc obok Maryi, spojrział na nią, pokręcił ogonem, wspiął się i porte monnaie jój oddał.

„Cóż mam wziąć z niego?“ zapytała Marya. „Wszystko,“ odpowiedział Alfred, nie zupełnie wyraźnym głosem. Marya dopełniła jego woli, skłoniła się dziękując i z towarzystwem swoim wyszła z pokoju. „Biedny Peko,“ odezwał się jeden z asystujących kweście, „za to, że nie panu swojemu, ale pani oddał pieniądze i przymusił go być tak hojnym, może mimowolnie, nie wiem, czy nie dostanie dobre napomnienie tym grubym pejczem, co to wisiał pomiędzy fajkami!“ „Biedny Peko!“ powturiła Marya.

„Zajdźmy do pana Scibora,“ odezwał się Czesław, przechodząc obok małej kamienicy na przeciwko Lasockiego.

Kwestujący weszli do bramy, z tamtąd do ciemnego korytarza, tam usłyszeli płacz i narzekania, jak się zdawało kobiecie, przytłumione grubym męzkim głosem. Czesław szedł przodem i drzwi otworzył. Pośrodku nie wielkiego pokoju, kędy spostrzeżać można było ubogo, ale nie chędogo, średniego wzrostu mężczyzn z oczami pałającymi gniewem, ciągnął za włosy po ziemi młodą jeszcze kobietę, u nóg jego klęczącą, całą zalaną łzami.

„Panie Scibór, co to znaczy?“ zawołał Czesław śpiecznie postępując ku niemu. Nasz pan Scibór wypuścił z garści gęste sploty czarnych włosów, głośny śmiech dobył z szerokich piersi. „To nic,“ odpowiedział, probujemy scenę z Otella, kiedy murzyn wenecki wlecze żonę na łóżko, aby ją poduszkami udusić!“ Przestraszona Desdemona zerwawszy się z miejsca, cała drżąca stała przy piecu, a kwestujący opuścili z przykrém wrażeniem scenę, na której często podobne dramatyczne ustępy odgrywać się muszą między Sciborem artystą naszego teatru, a jego małżonką.

Idąc chodnikiem średniego wieku mężczyzna w szarój wytartój, ale czystój czamarce, w czarnym halsztuchu, bez nogi, o szczudle, z mocnym kijem w ręku! zdjął czapkę i stanął frontem przed hrabią Firlujem. „Jak się masz Kuba?“ zapytał hrabia, zatrzymawszy się na chwilę. „Zdrów jestem wielmożny majorze.“ „Jak się tobie powodzi?“ „Nie źle z łaski pana Boga.“ „No z czego się teraz utrzymujecie?“ „Moja kobieta zajmuje się, z przeproszeniem pana majora, praniem, ja z mojej strony zarobię sobie czasami piątkę na tabakę, i żeby nie ta przeklęta noga, niczy mi nie brakło.“ Dobywszy potem z kieszeni gałganek, wyjął z niego kilka groszy, poprawił szpakowatego wąsa i cały wyprostowany, z nieśmiałością, ze spuszczonei oczami, jak panienka, ofiarował Maryi, mówiąc: „To dla ubogich!“ „Moj stary,“ odezwał się Firlój, „dajesz a sam masz nie wiele?“ „Mam dosyć, panie majorze, szedłem właśnie kupić sobie za te groszaki tytmium, lepiej że ubożsi odemnie zjedzą po kawałku chleba, a ja za to przez dni kilka będę kurzył siano, to mi przypomni Przytyk.“ „Jak to Przytyk?“ zapytał Czesław. „Pamięta wielmożny

major, kiedyśmy pod Przytykiem stali obozem, przyjechałeś pan major przed front: Kuba, zawołałeś, masz tytuń? Mam wielmożny majorze. To daj, bo ja już niemam. Podałeś mi wielmożny major fajkę, naładowałem ją. Zacząłeś palić, a to było siano; a smakowało, a mnie i śmiech brał i łyzy w oczach się zakręciły.“ „Kolego,“ przerwał mu wzruszonym głosem Firlój, „przyjdź jutro rano do mnie, dam ci na fajkę tytuniu, to będzie za twoje siano pod Przytykiem.“

W małej izdebce drewnianej chałupy nad Wisłą, okryty siwizną wyrobnik, siedział na ławie ze spuszczoną głową. Młoda dziewczyna klęczała obok niego, całowała go w kolana. Przy kominie stała podeszłego wieku kobieta, gotowała w garnku mizerną dzienną strawę. Obok niej piętnastoletnie dziewczę przędło na kołowrotku. Wtem drzwi skrzypnęły, weszły kwestarki. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ odezwała się Marya. „Na wieki wieków amen!“ odpowiedział starzec, z ciężkością powstając z miejsca. „Że u was ubogo, temu się bynajmniej nie dziwię, biedni ludzie,“ rzekł Firlój, „ale czemu tak smutno? czyście nie postradali kogo?“ Tracimy dziecko,“ zaledwo wymówić zdołał wyrobnik. „Jak to, czy chore?“ Zdrowe na ciele, chore na umyśle, bo starego ojca opuszcza, samego zostawia.“ „Samego?“ odezwała się łkając młoda dziewczyna, „wszakże ci zostaje matka i siostra Ludwika, a on sam jeden; kto go pocieszy?“ Nastąpiło chwilowe milczenie, a gdy wszyscy ciekawie wytłomaczenia czekali; temi słowy ojciec opowiadanie swoje rozpoczął: „Moja Joasia miała iść za mąż, za takiego jak ja chudopacholka, ale poczciwego i pracowitego chłopca, już było po zapowiedziach, gdy jój narzeczonego wzięto do żołnierzy. Teraz

się upiera, chce mimo tego iść za niego, iść z nim, daleko, gdzieś tam na Kaukaz. Już dla mnie stracona, już jej więcej nie obaczę!“ „Ojcie! tam się znowu obaczymy, tam się połączymy!“ odpowiedziała córka, oczy podnosząc do nieba! Wszyscy obecni do łez rozczuleni byli, a Firlej wychodząc z tego siedliska nędzy, smutku i cnoty, kilkanaście talarów wsunął do ręki téj dobrowolnej ofiary.

Przy końcu miasta, w bliskości cytadelli, w nie wielkim ale schludnym i czystym dworku, w pokoju porządnie umeblowanym, odpoczywały nasze kwestarki na wygodnej kanapie. Mężczyźni chodzili wzdłuż i w szerz, przypatrywali się kopersztychom na ścianach i książkom w mahoniowej szafce za szkłem zamkniętym. Podobniuteńka na przeciwko stała, z różnicą, że co się w niej znajdowało, zasłonięte było kitajkową zieloną firanką. Gospodarz był wyszedł do drugiego pokoju po pieniądze. Ciekawość matką wszystkiego złego. Nasi panowie ciekawi, ujrżeli przez szparę jakieś żelazne narzędzia; nasze panie jeszcze ciekawsze powstały z miejsca chcąc obaczyć i odgadnąć. Wtém gospodarz do pokoju wrócił. „Pan jesteś zapewne doktorem chirurgii,“ zapytała Marya, „tyle masz rozmaitych narzędzi.“ „Tak jest,“ odpowiedział z dziwnym uśmiechem, „jestem niby chirurgiem, bo leczę radykalnie cierpienia duszy; przecinając jej więzy, posyłam ją do lepszego świata.“ „Jakto? nie rozumiem,“ przerwała mu Marya. „Jestem,“ dodał, podając pieniądze na kwestę, — „katem!“

Kobiety nie dotknąwszy się pieniędzy uciekły z pokoju, hrabia Firlej przyjął dar dla ubogich, pożegnał gospodarza, dogonił żonę, a odwróciwszy się, kiedy ujrzał tak niewinnie potę-

pionego człowieka, oderwanego, że tak powiem, od całego społeczeństwa ludzkiego, stojącego na ganku z wejrzeniem, w którym się malował smutek ze zdaniem na wolę Boga. „Biedny!“ zawołał, „czyż to jego wina, że dziad, ojciec, byli czem on jest, czem syn jego będzie? Jak los przykuwa naszego kniotka do czasami niewdzięcznej gleby, tak go los przykuł do katowskiego miecza!“

W hotelu angielskim na drugim piętrze, w koło zielonego stolika, wśród ciemnych obłoków dymu dwudziestu przynajmniej cygar, kilkunastu młodych ludzi grało w faraona. Niegrający chodzili po pokoju, a ze trzech zgranych siedzieli po kątach ze spuszczonei głowami. „Czemuż się upierałem na tę nieszczęsną piątkę? nie byłym przegrał!“ pomyślał jeden. „Dama leżała, a ja tego nie spostrzegłem, aż mi pieniędzy zabrakło,“ mówił do siebie drugi. „Niechże nadejdzie pułkownik,“ układał sobie trzeci, „pożyczę u niego kilku dukatów i niezawodnie się odegram.“

Tym czasem bankier, przed którym świeciły się kupy złota a pod nimi kilka listów zastawnych, z wielką flegmą, wyrachowaniem i uwagą ciągnął bank; małe karty dawał, grubo obsadzone ubijał i pieniądze nielitościwie zabierał. Ten pożyczyl od żyda sto dukatów, dał wexel na trzy sta, a z pożyczonych za ledwie kilkanaście pozostaje; ów niósł pieniądze na zapłacenie długu słowem honoru zaręczonego, wstąpił do angielskiego hotelu, przegrał pieniądze a z niemi słowo honoru. Ten gra na kredkę, bankier mu fełbonuje i na nim długi rejestr pisze, ma nadzieję nabycia u niego tanim kosztem wioski, co tylko wypuszczonęj przez matkę. Tamten już puścił piękny zegarek Czapka,

teraz familiiny sygnet stawia na kartę. Od godziny, młody je-
szcze człowiek, ale stary gracz, stał przy stoliku, nie grał, ale
uważał. Wtém „attendez“ zawołał, wyjął stos listów zastawnych
z pularesu, rzucił na stół, nakrył dwójką i „banko“ dodał. „Za
pozwoleniem,“ z zimną krwią odpowiedział bankier, „po abcugu.“
Dwójka wygrała.

Bankier nieznacznie się uśmiechnął, wszyscy spojrzeli po
sobie, a ten co miał bank zabić, zabrał swoje listy zastawne,
do pularesu nazad pochował i nie nikomu nie powieździawszy,
wyniósł się z pokoju. Wtém weszły kwestarki. Proszę talij do-
ciągnąć, z niecierpliwością domagał się baron, mając zagięty parol
z pięciu dukatów.“

„Basta!“ rzekł bankier, pieniądze wygrane zgarnął, zapła-
cił postawione karty i dziesięć czerwonych złotych ofiarował na
kwestę. Wszyscy chcąc nie chcąc poszli za jego przykładem, ci
tylko nie dali, którzy już nie mieli. Kwestarki wyszły
z obfitym plonem, bankier z wygraną, przegrani z nadzieją ode-
grania, i po kilku chwilach, w tym pokoju dopiero tak ożywio-
nym, zostały na stole i podłodze, porozrzucane, połamane poni-
terki, a nad niemi unoszące się kłęby dymu, na którym się za
zwyczaj kończą zamysły próżności, mamidla nadziei, znikomość
sławy!

W długiej sali restauracyi Heurtego hotelu angielskiego, kie-
dy do niego weszły kwestarki, dużo znajdowało się osób, była
to bowiem zwyczajna obiadowa godzina piąta. Przy małym sto-
liku dwóch warszawskich elegantów zajądało kapłona z trufkami,
a wypróżnione dwie butelki wina świadczyły, że trufle spr-
wiają pragnienie. Pan sędzia kończył swój obiad, zwyczajnym

czytaniem kuryerka warszawskiego. Pan sędzia amator i znawca dobrej kuchni jest tam codziennym gościem. Pasibrzuch zawołany, a razem niby literat, powiadają, że razu pewnego zachciało mu się spróbować poezyi; jednego więc ranku, kiedy chwile wolne od obowiązku, pozwalały mu obcować z muzami, zaczął był odę pod tytułem: rozbicie okrętu. Już kilkanaście wierszy napisał, te się właśnie temi słowy kończyły:

Nierozsądny siebie wiń,
Jeżli Cię burza pochłonie!

W tém interessent przerwał mu natchnienie, wyjść z nim musiał do miasta, skąd powróciwszy zastał wiersze dokończone w ten sposób:

Płyń przez morze, durniu płyń,
Kto ma wisieć, nie utonie.

Po środku pokoju kilku wojskowych ochoczo, wesoło i huczno obiadowało; szampan lał się strumieniem, to doskonałe wino, bo po dwadzieścia złotych butelka, żeby i po trzy złote sprzedawano, pomimo wyskakujących korków, nie robiły hałasu, nie byłyby w modzie.

Dwóch podobno studentów, inkognito, bez munduru, w kąteczku, bardzo skromnie, jadło we dwóch jedną porcyją polęgwiicy. Urzędnik z komissyi skarbu, miesięcznie abonowany, kończy swoje trzy potrawy. W innéj stronie przy okrągłym stole, kilku mężczyzn a z nimi młoda i ładna kobieta. Kto była ta nowa straniera! nikt dokładnie nie wiedział. Jedni mówili, że Francuska, drudzy że Angielka, ci utrzymywali, że kuzynka Loli-Montez, wiedziano tylko, że niedawno do Warszawy przybyła, że już niejednemu młodemu i staremu zawróciła głowę;

wiedziano, że gładko spija szampana i zaczyna się przyzwyczajać do starego węgryzna.

Dymissionowany generał z dwoma kolegami pałaszował ogromny kawał rostbeefu, gdy obok nich młody hrabia się niecierpliwił, że mu nie przynoszą dosyć prędko kotlety à la Soubise; hrabia jakby ulany w rejtraku od krawca Louïs, w spodniach barwy kameleona od Wiśniewskiego, w kamizelce czarnej od Zygradtowicza, w chustce na szyi nowego wynalazku, aloës écu; w ciznach kamaszowych, z wystawy londyńskiej, hrabia amator śniadania u Flatona, obiadu u Heurtego z angielskiego hotelu, wieczery u Heurtego z Blanka pałacu, znawca likworów des Isles od Guta, oddający cześć winną węgryznowi staremu, od Fukiera, uwielbiający Jakubowego ¹⁾ syna od Krzemińskiego, pałacy ofiary przed wdową Clicot, nasz pan hrabia, rozkochany w swoim zacernionym wąsiku, polyskującym fixatorem od Przybylskiego.

Garsony przebiegali salę wzdłuż i wszerz, jak oparzeni, tu przynosząc potrawy, tam sprzątajac talerze, tu wysadzając korki z butelek, a zewsząd słycać tylko było: Szymonie! un filet de boeuf aux champignons; un soupé de perdrix à la parisienne; une matelotte à la Hermance. Adonisie, des cotelettes en Lionne des habillée, du poisson à la belle hollandaise, des rognons à l'eau de jouvance. Janie une cropoudine d'ortolans trempée dans de l'elixir d'amour, des tandous de Vache née di tout une infidélité; des nids d'hirondelles aux herbes fines des momies egyptiennes. W tém już nie młody mężczyzna, niedawno ze wsi przybyły,

¹⁾ Jacques Sohn.

co można była z ubioru i po świeżej cerze poznać, zająwszy z drugim stolik pod oknem: „Panie kawalerze,“ na garsona zawołał, „daj nam wacpan dwie porcyce barszczu niezabielonego, z rurą i uszkami, a pamiętaj, aby w nim była wędzonka; potem sztuka mięsę białą z ogórkiem, i pieczonego kapłona, ale z serdelami. Czy macie Kazimierowskie piwo?“ „Nierozumiem,“ odpowiedział garson. „No, to bawarskie?“ „Niemamy, ale poszlemy.“ „Przedewszystkiem proszę o wódkę.“ „a jaką panowie każecie sobie podać, mamy z likworów du broue de noix, de la fleur d'oranges au vin de champagne, du Santa Maryja, du parfait amour.“ „Daj pokój tym romansom“ odpowie pocziwy szlachcie, „a przynieś nam po prostu po dużym kieliszku kmin-kówki.“ A widząc zbliżające się kwestarki, jeden z pierwszych powstał z miejsca i wyjąwszy z długiej zielonej sakiewki nowiutenkiego holenderskiego dukata, ofiarował na ubogich. Czy dużo kwestujące zbierały pieniędzy w tej restauracyi, kędy wszystko się płaci na wagę złota, a nikt się nie wstydzi na jeden obiad przejeść to, coby wystarczyło ubogiej rodzinie na miesiąc cały, niewiem; wiem tylko, że hrabia Firlej z towarzystwem swoim obeszędłszy wszystkie stoły, poszedł nieco się posilić do bocznego pokoju.

Po trzech dniach nieustannój i męczącój pracy, już ostatniego, wieczorem, kończyła się kwesta, kiedy Czesław, wracając do domu: „dzisiaj środa,“ rzekł do żony; na zakończenie naszej pielgrzymki wstąpmy na sessyą Biblioteki warszawskiej.“

W wielkim domu naprzeciw Reformatów, na pierwszym piętrze, od dziedzinca, zgromadzenie Biblioteki warszawskiej odbywało co środę posiedzenie swoje. W dosyć obszernym po-

koju, przy bocznej kanapie, stał długi stół zielonem suknem nakryty. Na stole, przy lampie i dwóch świecach, pliki papierów, protokół posiedzeń, oprawny w książkę, marmurowy wazon do wotowania; obok niego na szklanej miseczce gałki czarne i białe, w samym środku kałamarz, pióra i porządkowy dzwonek. W koło innych ścian sofy i stolki. Skoro się nasze kwestartki pokazały, a oswoiwszy się z gęstym dymem napelniającym pokój, ujrzały ze trzydzieści osób, prócz tych, które się w pobocznym mieściły. Towarzystwo po większej części było złożone z kilku professorów, oraz uczniów dawnych uniwersytetów naszych. Na kanapie siedział badacz starożytności krajowych, czytał rozprawę z szesnastego wieku. Słuchał go z uwagą człowiek jeszcze młody, bogaty, on zamiast wiek i dostatki poświęcać światowym nicościom, nie tylko w kraju, ale i za granicą wynajduje z wielkim nakładem dawne pamiątki, zbutwiałe rękopisma przechowuje, wydziera zniszczeniu to co się miało już w proch zamienić. Tu miłośnik dziejów, zapisuje niektóre pomyłki poczynione w rozprawie, aby je potem wytknąć i poprawić. Przy nim nasz astronom, dalej młody jeszcze wiekiem, ale nie nauką professor fizyki, obok niego postępowy chemik, paleontolog, matematyk, i nasz ulubiony powieściopisarz; dalej zoolog w całej Europie znany, a u nas tak ceniony! Pomędzy tym licznym gronem ludzi prawdziwie uczonych, prawdziwie użytecznych, chwałę przynoszących krajowi, znajdziesz i za uczonych uchodzących, znajdziesz i takiego, któremu o to tylko idzie, aby na zapytanie, gdzie był wczoraj? mógł odpowiedzieć: na posiedzeniu Biblioteki warszawskiej. Znajdziesz tam niezamordowanego, niespracowanego autora pamiętników wojskowych, cywil-

nych, duchownych, wiejskich, miejskich, starożytnych i nowożytnych; wszyscy błagającym głosem wołają na niego dosyć, dosyć! a on jak pisze tak pisze, humorystę w złym humorze, bo facecye jego spowszedniały; i owego amatora niepiszącego, ale rozprawiającego o wszystkim obszernie, ma piękną bibliotekę, chociaż nigdy nie bierze książki do ręki, i kiedy często śniadania i obiady wyprawia, kiedy z uczonymi obcuje, i jemu się wydaje, że jest uczonym, że literatem został.

W koło stołu sami zasiedli redaktorowie, areopag pisma. Oni go założyli temu lat jedenaście, z wytrwaniem utrzymują, pielęgnują; oni ruch umysłowy nadali, rzucili iskrę do gasnącego ogniska naukowego. Na stronie, przy okrągłym stoliku, kilka osób przerzucało gazety, dzienniki, pisma peryodyczne, krajowe i zagraniczne.

Z parę godzin zabawiwszy na uczonej posiedzeniu, Maryja i Czesław wrócili do domu, zadowoleni z kwesty i z przepędzonego wieczoru. Kwesta rozradowała ich serca przekonaniem, iż w rodzinnej ziemi istnieje jeszcze współczucie na cierpienia ludzkości, wieczór odświeżył umysł, pokołysał nadzieją błogich płoń w przyszłości!

W wielki piątek i w wielką sobotę, w jednym z kościołów Warszawy, Maryja Firlej kwestowała z panią Emilją. Obie czarno ubrane, przy stole przykrytym bogatym dywanem, w staroświeckich krzesłach, otoczone były, że tak powiem, licznym dworem. Na wielkich srebrnych tacach dary próżności, światowych względów i dumy rozlegały się obok skromnej ofiary niebogatego, potrzebnego, obok grosza wdowiego; ale też nieraz imperyał lub dukat wstydzic się musiał przed lichym miedzia-

kiem, tak jak występki okryty jedwabiem, spuszcza oczy przed cnotą w ściermiedze. Gdyby bogaty dawał w stosunku tego co daje ubogi, niebyłoby ubogich, dobry byt zastąpiłby nędzę, błogosławieństwo zastąpiłoby skargę i narzekanie, niebo zdawałoby się bliżej ziemi, byłby to jedynie, możebny, przypuszczalny między ludźmi komunizm!

Dwudniowa po kościołach kwesta ukończyła się z korzyścią dla ubogich. W sobotę wieczór, mnóstwo pobożnych napelniło przybytki pańskie, uderzono w dzwony, odezwały się harmaty, a rozpierzchłe po całej kuli ziemskiej ludy zaśpiewały Alleluja!

Minęła zima, a z nią mrozy, śniegi, niepogody i niebo chmurami okryte i wiatry północne; ale zarazem minęły bale, reduty, wieczory. Wróciła wiosna, zazieleniały drzewa, woń kwiatów i śpiew ptaków napelniły powietrze. Już miasto wyludniać się zaczęło, bo każdy chętnie opuszczał owe miejskie, owe, że tak powiem, sztuczne życie, aby czém prędzej wiejskiem odetchnąć powietrzem, aby użyć owych nieprzebranych skarbów przyrody! Przepędzić kilka zimowych miesięcy w mieście rozumiem, szczególnie dla tych, którzy się na wsi niechęcą zagrzebać, niechęcą zupełnie z wielkim światem zerwać, mają córki na wydaniu, mają synów, dla których towarzyskie stosunki mogą się stać potrzebą, koniecznością nieodzowną przyszłej karyery; rozumiem dla uczonogo, pragnącego umysł odświeżyć w stolicy naukowego ruchu; rozumiem nawet dla młodej kochającej się wzajemnie pary, w której chęć urozmaicenia rozkoszy, podnosząc cenę domowego pożycia, domowe szczęście nadal trwalszém czyni. Rozumiem, że

kto ma za co jechać do miasta na zimę, jedzie do miasta; ale nie rozumiem owego upodobania, owego namiętnego zamiłowania miejskiego bruku, błota, kurzawy i dymu. Po pracy człowiek potrzebuje czasami nic nie robić, potrzebuje wypoczynku, ale długi wypoczynek w próżnowanie się zamienia, rodzi lenistwo; a czémże jest miejskie życie, jeżeli nie ciągłym próżnowaniem?

Mężczyznę ambycja, miłość własna, czasami potrzeba, częstokroć ciekawość, najczęściej niestałość i próżniactwo wyciągają ze wsi, wydzierają domowemu szczęściu. Kto raz domowe ognisko opuści, choćby później do niego zatęsknił, powrócił, już je zagaszonym zastaje. Gdzie ogrzewała miłość, gdzie pocieszała przyjaźń, gdzie zobopólna ufność dodawała siły, a wspólny szacunek hartu, tam głucho i pusto; wiatr tylko swiszcząc zdaje się szyderskiem urąganiem, echem wywrotu sumienia. Wielki świat jest bezdenną otchłanią dla rzucającego się weń zapamiętałe. Patrz na przedwcześnie okrytego siwizną, porytego głębokimi zmarszczkami; któż je wypiętnował na jego czole? Nieograniczonej chęci wywyższenia się nad drugich zawody, miłość własna zgnieciona i starta. Szedł w górę po drabinie, gdyby był z niej zleciał, mniejsza o to; ale zatrzymał się w drodze, drudzy go omijali, zostawili w tyle, a on na miejscu jak stoi tak stoi; już wyżej nie dojdzie!

Patrz na tego zgrzybiałego młodzieńca, włosy mu wypelzły, nos zapadł, oczy bez rzęsów, usta bez zębów zostały. Cały flanelłą okryty, lęka się najmniejszego powiewu, cały aperturami obłożony, nędzne życie wlecze. Są to skutki wyuzdanych, niczem niepohamowanych namiętności.

Czy widzisz tego dwudziesto-kilkoletniego człowieka w tym

wytartym tużurku, w połamanym kapeluszu na głowie, w butach z których palce od nóg wyglądają? Zaledwo z pełnoletności wyszedł, odziedziczył po ojcu cztery wioski w Sandomierskiej ziemi, trzykroć stotysięcy złotych w gotówce. Trzy lata przepędził w Warszawie, a karty, baletniczki, śniadania u Flatona, obiady u Marego, podwieczorki u Dominika, strawiły cztery wioski, rozproszyły kapitały. Wszystko zmarnował, a tyle lat życia ma jeszcze przed sobą!

Wież przyrodzonym, miasto sztucznym pobytem człowieka. Rodziny osiadły po wsiach, towarzystwa skupiły się w miastach. Rodzina składała się z członków do niej należących, towarzystwa składały połączone rodziny. Gdzie była jedna rodzina, tam była patryarchalna cnota; gdzie towarzystwa, niezgoda, zazdrość i zawzięcie się wszczęły, popsucie i zbrodnia znalazły.

Dwa są rodzaje światowych kobiet, a każdy z nich na mnogie rozdziela się części. Do pierwszego należy kobieta próżna, mająca serce dla siebie, a raczej niemająca go wcale; kobieta szukająca pochwał, oklasków, uwielbienia. Jeżeli w niej znajdują się umysłowe zdolności, będzie sawantką, filozofką, autorką, i zamiast pochwał i oklasków, po drodze przez siebie obranej ze śmiesznością czasami napotkać się może.

Jeżeli w niej namiętności wezmą górę, jeżeli nawa, na której przepływa życie, zostanie bez steru, miotana przeciwnymi wiatry wśród nawalności i burzy, albo dobije do przystani, a gdy ją młodość, wdzięki opuszczą, opuści miłość ludzi, zostanie dla niej miłość Boga, jak deska wśród rozbitku, jak ostatni umizg nadziei, albo rozwiązłość, rozpusta na jej czole wyciśnie piętno hańby, życie zakończy w szpitalu.

Jeżeli pod wpływem umysłowego usamowolnienia uczyni rozbrat ze skromnością i bogobojnością dawnych naszych niewiast, jeżeli emancypacja dotknie ją swoim oddechem, kobieta, ta najpiękniejsza ozdoba stworzenia, ta towarzyszka, ta rozkosz, ta pociecha człowieka, którą muzułmanie nawet za nagrodę przyszłego naznaczają życia, zamienia się w lwicę.

Ani w pierwszym, ani w drugim, ani w trzecim razie nie szukaj żony, nie znajdziesz matki.

Do drugiego rodzaju światowych kobiet należy ta, która z przeznaczeniem swoim, że tak powiem, się rozminęła. Miała serce czułe, kochające, wstępowała w życie, jak się wstępuje w wiosnę, kiedy wszystko zazielenieje, rozwijają się kwiaty, woń napęlnia powietrze, słowik śpiewa w gęstwinie: ale biciu jęj serca, bicie innego serca nie odpowiedziało nigdy, ale jęj spojrzenie nie odbiło się nigdy w przezroczu lżą miłości zwilżonego oka, ale rajem jęj wiosny, stał się bruk stolicy; świeże kwiaty zastąpiły stroje i klejnoty, woń powietrza zaduch teatrów i balów; śpiew słowika zastąpił odgłos hucznej muzyki! Złotym ogniwem kajdan całego życia, ślubną obrączką przyżenili, przykuli wiosnę z jesienią, bogobojność z bezbożnością, niewinność z lubieżnością, czułość z samolubstwem, kocham was z kocham siebie. Duma węzeł splątała, a ścisnęło złoto. W pośród zabaw wielkiego świata, kiedy ją hołdy i pochlebstwa otaczają, spojrzuj w jęj duże czarne oczy, znajdziesz w nich, nawet wtedy kiedy się śmieją, głęboki, bezdenny, tajemny smutek, jakby mimowolny żal i tęsknotę, jakby napis grobowy od nikogo nie zrozumiany, zatarty! Zajrzyj w jęj serce, garstka popiołu, wygasły wulkan, zasypane Herkulanum!

Taka kobieta, od pierwszjej młodości rzucona w odmet,

w niego że tak powiem wrosnięta, bez niego już żyć nie może, jak szuler bez kart, jak pijak bez wódki. Taka kobieta potrzebuje szału, zapomnienia, odurzenia, lęka się sama z sobą pozostać, ażeby czasami, jaka nienaciągnięta w jej sercu struna, nie zajęczała tęsknotą i żalem. Jeżeli nie zboczyła z toru cnoty, może dla tego, że się nie znalazła stosowna okoliczność i pora, może pamięć w dzieciństwie udzielonej przez niankę zasady, uratowała ją od upadku, może chciała zachować szacunek samej siebie, jedyną przyjaciółkę, na którą rachować można wśród wielkiego świata. Ale światowość jej już się zamieniła w namiętność, skoro kilka tylko osób w pokoju, jest głuchą, usłyszyć tylko może wśród zgiełku. Kilka osób ją nudzi, potrzebuje tłumu, wiru; ona, jeżeli dojdzie do późnej starości, umrze w karcie, na wizyty jadąc, albo w łoży na teatrze, albo drzemiąc na balu.

Powtarzam, nadeszła wiosna! Kto miał wieś, wyjeżdżał na wieś, kto miał pieniądze, jechał do wód za granicę, kto nie miał za czem zostać w mieście, wyjeżdżał z miasta; zostali tylko w niem obowiązkiem lub musiem przykuci, jak ta niegdyś monstrualna sofa w jadalnej sali, na miejscu zrobiona, tam na zawsze pozostać musi, bo się nawet przededrzwie nie zmieści. Warszawa pustą być zaczynała, chociaż nie na długo; za miesiąc konne wyścigi i jarmark wełniany, te ostatnie podrygi konających zabaw wielkiego u nas miasta.

Hrabia Firlej nie spieszył się z wyjazdem na wieś, bał się, aby Marya nie zatęskniła za miastem, wołał czekać aż zatęskni za wsią.

Jarmark na wełnę jest środkowym punktem, dokąd ze wszystkich stron kraju obywatele ciągną z towarem, z kąd do domu

z pieniędzmi wracają. Wracają albo nie. Ten sprzedał wełnę, pieniądze schował i czem prędzej na Podlasie, w Lubelskie, Płockie lub Radomskie na powrót dąży; ów sprzedał, ale pieniądze przegrał, czy stracił i wraca po zasłużoną burę od żony, a nie raz po narzekanie i skargę domowego niedostatku; są jeszcze tacy, którzy znajdując ceny za niskie, nie przestają na nich, spekulują, składają towar, czekają, i często najgorzej na tém wychodzą.

Znałem dosyć majątnego obywatela, przyjechał do Warszawy z wełną, wełnę dobrze sprzedał; już miał na zajutrz do domu wracać, niektóre tylko sprawunki dla żony i córek potrzebował załatwić; bo żonę młodą, przystojną, a dobrą, przykładną i cnotliwą zostawił w domu, i trzy córeczki, istne aniołki. Przeczytawszy na rogu ulicy afisz: Żydzi Korzeniowskiego i balet rozbójnik morski, poszedł na teatr i na balecie utonął. Panna Sidonia, nieszpeta baletniczka, wpadła mu do smaku; przez cały balet nie spuszczał jęj z oka. Musiała to spostrzedz ze sceny, bo gdy z teatru wychodził, spotkał się z nią niby trafem pod kolumnami. Znajomość z baletniczką łatwo się zawiera, odprowadził pannę Sidonią do domu. Na zajutrz nie wyjechał, i w kilka tygodni później bawił jeszcze w Warszawie. Znajomość z baletniczką wiele kosztuje, poszła na nią część wełny, a gdy się pannie Sidonii zachciało broszy i kolczyków diamentowych, widziała je bowiem u Pikla, nasz rozkochany szlachcic czem prędzej do jubilera pobiegł. Sześć tysięcy złotych zaceniono za wszystko, a gdy znalazł za drogo i przed kochanką się wygadał, iż chętnieby odzależował czterech tysięcy dla przedmiotu swojej miłości, panna Sidonia poszła potajemnie do Pikla, ten ustąpił tysiąc

złotych, drugi tysiąc dopłaciła natychmiast, prosząc, aby kolczyki i broszę szlachcicowi za cztery tysiące sprzedał, a jej podstęp zachował w sekrecie.

Wiejski kochanek naparty znowu nastającym naleganiem, za umówioną cenę drogi podarunek kupił. Już go niósł w rękę w ofierze swojej Terpsichorze, gdy idąc senatorską ulicą napotkał przyjaciela i sąsiada, ze wsi cotyлько przybyłego do miasta. Po przywitaniu wzajemném, po pytaniach i odpowiedziach, co się dzieje w domu? jak się mają żona i dzieci? zaszli na śniadanie do Riedla. Przy dobrej butelce starego węgrzyna rozplątał się język, odżyło w dawniej przyjaźni zaufanie. Nasz szlachcic zwierzył się przyjacielowi ze swojej miłości, wyznał, co go zatrzymuje w mieście, wygadał nawet o nabytym prezencie i ten pokazał. Przyjaciel kazał dać drugą butelkę węgrzyna i zaczął przyjacielowi przedstawiać, że żona tęskni za nim, że dzieci wyglądają za ojcem; żona poczciwa, przywiązana, skoro się o wszystkim dowie, to umrze z rozpacz. Zaczął traǳać do przekonania, i gdy dostrzegł łzę żalu w oku zbałamuczonego męża: „wiesz co?“ zawołał, za tydzień Świętego Ludwika, imieniny twojej żony, ja jutro wracam do domu, słuchaj mojej rady, jedź ze mną, a dar mający służyć na zapłacenie niewiary, ofiaruj najlepszej żonie i matce.“ Szlachcic miał dobre serce, dał się łatwo zmiękczyć, na wszystko zgodził, na zajutrz pojechał z przyjacielem do domu i z jarmarku wełnianego prześliczną broszę i kolczyki diamentowe ofiarował na imieniny żonie, a ta je przeznaczyła na ślubny upominek dla najstarszej córki.

Panna Sidonia straciła złotych tysiąc, a co gorsza, stała się pośmiewiskiem całego miasta.

Na placu zwanym Krasińskim otrąbiono zaczęcie trzy dni trwać mającego jarmarku na wełnę.

Do koła pozastawiano budy z desek, napelniono je wańtuchami z wełną, a gdzie bud nie stało, piętrzą się w górę pod gołym niebem wańfuchy, a na każdym z nich dużemi literami napisano, z jakiego majątku wełna. Od samego ranku wielki ruch panuje na placu. Faktory się uwijają, meklery zajęci, komisanty przechodzą się z budy do budy; nie jeszcze nie targują, ale patrzą, próbki biorą, szwargoczą między sobą po niemiecku.

Jak od wschodu słońca powiew pomyślnego wiatru pomyślnie polowanie rokuje, tak samo wełniarze, dobry jarmark, przepowiadają sobie. Tym czasem rano w dzień postępuje, a ruch się coraz powiększa; już się nawet pytać zaczynają o ceny, już nawet ktoś się z tém odezwał: „Pan Szczawinski z pod Sochaczewa sprzedał po sto trzy talary wełnę z Wilczój-Woli.“ Gruchnęła ta wiadomość po całym jarmarku, jeden drugiemu ją powtarza, a każdy z tądn wnioski robi, po czemu sam swoją sprzeda. Szukają wszędzie Szczawinskiego, aby się o prawdzie dowiedzieć, nie znajdując, tylko wełna z Wilczój-Woli, jak stała na miejscu tak stoi.

Godzina dziesiąta, wełniarzom, od piątój z rana na placu, zaczyna być kliwo, trzeba iść na śniadanie.

Jedni ruszają do Brylinskiego na marynowanego szczupaka, drudzy do Semadyniego na szokoladę, ale największa ich liczba zalega uprzywilejowaną szynkownią Lipkana pod Łososiem. Tam obok samego sklepu, kędy wódkę na kieliszki sprzedają, w obszernych dwóch pokojach, prawdziwy bigos hultajski. Ludzi pełno, jedni wchodzą, drudzy wychodzą. Tu jedzą, tam piją wódkę,

piwo bawarskie, porter, wino, a nawet szampańskie; ci fajki, tanci cygara palą. Za długim a wązkim bufetem, obstawionym marynatą z łososia i szczupaka, minogami, śledziem, kawiozem, butersznitami z szynką, ozorem, ruladą, uwijają się ładne dziewczyny. Każden z przechodzących to Leosi coś szepnie do ucha, to Karlinkę ściśnie za rękę, to Malcię pogłodzi pod brodę. U Lipkana pod Łososiem oprócz wełniarzy, bo to nadzwyczajny napad, podobny do dawnych zagonów tatarskich, znajdziesz krawca przychodzącego codziennie o pewnej godzinie na kielbasę z kapustą; znajdziesz z naprzeciwka fryzyera, z drugiego piętra doktora; znajdziesz idącego na zajęcia, lub licytacyjną komornika, studenta, co się z klasy, urzędnika, co się z bióra wymknął. I pan Scibór tam wstąpił, idąc do teatru na próbę, ale nie taką, jaką w domu odbywa, i nie jednego kolegę znalazł. Tu odstawnym pułkownikiem zajada doskonale flaki, obok niego kamerdyner księżny, marynowanego łososia. Tam ujrzyś patrona a nawet mecenassa. Powiadają, że od czasu, jak żydzi krymki i łapsardaki zrzucili, do Lipkana przychodzą pokryjomu pożywać, czego im stary testament zabrania. Młody panicz siedzi obok faktora, pierwszy prosi o wystarcanie się pieniędzy, drugi ofiaruje pożyczkę, ale w pieniądzech wtyka starą dorózkę, parę koni, pistolety, toaletkę, kilka pudów świec woskowych, dywan i używane szory; a wszystko w trójnasób wartości, przy tém dziesięć procentów na miesiąc i dwukwartalowy termin. Bogaty kupiec przy bufecie, za przejedzone dwa złote, daje Malci pięćiorublowy papierek, mówiąc: „reszta dla ciebie.“ Pan rotmistrz od huzarów namawia Karolinkę, aby z nim na Kaukaz jechała. Redaktor dziennika odczytuje ostatnią korektę, zając pieczęć huzarską.

Pan radzca, kiedy bywa u Lipkana, wtedy, jak sam powtarza, pożycza surduta od swojego kamerdynera. Pan baron zdejmuje okulary, a wtedy sam nie widząc, wyobraża sobie, że go nikt nie widzi. Tam znajdziesz senatora obok sądowego woźnego; hrabiego rozmawiającego poufale z szewcem, któremu od dwóch lat winien za buty; tam prawdziwy socyalizm, rzeczpospolita czerwona, tam uprzywilejowana, powtarzam, szynkownia!

Po południu, około godziny szóstej wieczorem, jarmark wełniany staje się zebraniem samėj elegancyi. Wtedy mniej kupujących, więcej odwiedzających. Nie jedna żona przysła męża odwiedzić, na najwyższym wańtuchu siada, otoczona młodzieżą, a jeżeli nie sprzedaje wełny, na prawo i lewo rozruca łaskawe spojrzenia. Córeczki przyszły do ojca, pytają, czy wełnę sprzedał, bo obiecał dać im na sprawunki, a dużo pięknych rzeczy po sklepach widziały, lękają się, aby kto nie uprzedził, nie zakupił wszystkiego. Pani podsędkowa przypomina mężowi, że wnet czas iść na teatr, łoża na drugiem piętrze najęta, a dają Roberta Diabła.

Wełniarze długo na jarmarku nie siedzą, lubią się pobawić. Jedni ruszają na teatr, drudzy jadą na spacer.

Nowym światem toczy się, aż koła warczą, nowiuteńki koczyk, wczoraj kupiony od Brühla. Pięć dzielnych szpaków w krakowskich chomontach z mosiężnemi blachami, kulkami, z szafrowemi płachtami. Na koźle obok lokaja w liberyi Krakowiak w granatowej ferezyi, karmazynem podszytėj, w karmazynowej czworograniastėj czapce okolonėj czarnym barankiem, z zatkniętém pawiem piórkem, tego pali z bata. W koczyku dwie kobiety modnie ubrane, może trochę za strojno, na przodzie dwóch mę-

żczyzn z potężnymi wąsami, z gęstymi brodami, z twarzą ogorzalą, w modnych paletotsakach, kapeluszach popielatych kastrowych; — to wełna!

Aleą ujazdowską przejeżdża podszarzony koczobryk. Cztery konie różno maściste w lejc zaprzężnięte, wóznica w białej sukmanie, na głowie ma kapelusz czarny z dużemi brzegami, przewiązany czarną tasiemką. W koczobryku dwie podtatusiałe mamunie i trzy młode panienki, a kapelusze z piórami u starszych, a panienki w pasterskich słoniannych z różowemi wstążkami, a każda z parasolikiem; — to wełna!

Pędzi co koń wyskoczy nejtyczanka, czwórka dziarskich gniadoszy w poręcz założonych z wiatrem ją unosi, w niej dwóch elegantów z Lubelskiego, w tużurkach od Zygardłowicza, w goralskich orzechowych kapeluszach, w cytrynowych rękawiczkach, cygara w gębie; — to wełna!

Dalój staroświecka kolasa na resorach; dwie pstrokate kłaczki w dyszlu, trzecia na przyprzążce, i źrebie z dzwonkiem u szyi za niemi: pan sędzia pokoju z Augustowskiego jedzie na spacer z księdzem kanonikiem; — to wełna!

Kilku młodych kawalerów hareuje na najetych koniach; — to wełna! A jedni zajeżdżają do doliny szwajcarskiej, zkąd z daleka słyhać trąbkę Rajczaka, drudzy jadą do Łazienek, ci do Wierzbna, tamci do Willanowa!

Ulicą mokotowską, średniego wieku mężczyzna, w jasnym nowiuteńkim paletocie, trochę za wązkim, trochę za krótkim, widać nie na urząd robionym, w nankinowych spodniach, w dużym słoniannym kapeluszu, prowadził pod rękę godną swoją małżonkę. Na niej suknia cytrynowa jedwabna, wiszniowy ak-



samitny kaftan, czarną koronką obszyty; na głowie biały ryzowy, nader otwarty kapelusz ubrany w różnobarwne kwiaty. Obok niej ósmioletnia córeczka w niebieskiej krótkiej sukience, w majteczkach, ponsowych kamaszach, w kastorowym popielatym kapeluszu z popielatém piórem. Za nimi mały Marcinek, niedawno wzięty ze wsi, w szaraczkowym surducie z kołnierzem niebieskim i herbowemi guzikami, w kapeluszu okrągłym szychowym galonem obwiedzionym niesie cały spacerowy tabor: burnus dla pani, mantyllę dla panienki, płaszcz dla jegomości i duży płucienny parasol, czyli raczej deszczochron, podług warszawskiego kuryerka, na przypadek deszczu. Za Marcinkiem wlecze się gruby szpic z wywieszonym językiem, wymyty, obstrzyżony, z różową wstążką u szyj; — i to wełna! — wełna idąca na raki do Dominika!

Na teatrze grano Roberta diabła; łoże wszystkie zajęte, ani jednego próżnego nie zostawało krzesła, na parterze pełno. A gdzie spojrzysz, czy w łożę, czy na krzesło, czy na parter, a oczy w górę podniesiesz na galeryą i paradyż, wszędzie wełna! —

Tu panie, panny, paniątka, panowie, panicze wełniarze, a tam wysoko, panna służąca, pisarz, ekonom, a jeszcze wyżej kucharka, dziewczka ze wsi, furman i lokaj; — wełna!

W łoży na pierwszym piętrze, pani sędzina z Rawskiego, w dosyć jaskrawej sukni, zawałiła duży kapelusz z kwiatami, będzie na wsi za Paryski uchodził, a sporządziła go pani Dobrska. Dwie córeczki biało ubrane, z różą świeżą we włosach, lubię je za to, niezapomniały o ozdobie wsi i wiosny, niezapomniały, że róża najpiękniejszym kwiatem, i same jak różyczki wyglądają. Z tyłu za nimi pan sędzia, nieborak zmęczony, właśnie zasnął,



kiedy nasza primadonna silnym głosem wyciągała arya: Łaski, łaski! — To welna!

Patrz na tę jeszcze młodą, ani brzydką, ani ładną panią, w ponsowym turbanie na głowie, z pod szerokiego aksamitnego zielonego, na pół roztwartego burnusu, wygląda kołnierzyk z koronkowym żabotem, spięty kamizelką ze złotymi guzikami. Obok niej gruby jegomość ze świecącym a łysym czołem, w nowiu-tenkim granatowym fraku, chce się oprzeć, a lękając powalać fraka, podłożył sobie pod łokcie, chustkę do nosa. Jest to radzca towarzystwa kredytowego z godną małżonką swoją; — welna!

Te dwie panie w ubraniu jak z igły zdjętém, a młode a nie brzydkie, z których jedna na widok płaczącej na klęczkach Alicyi, tak rozczulona, że ma łzy w oczach; druga przestraszona diabłami i zakonnkami powstającemi z grobu, oczy batystową chustkę zasłania, kiedy mężowie niesłuchając ani muzyki, ani śpiewu, zastanawiają się nad ceną welny, robią wnioski, czy pojdzie w górę, czy spadnie; — to welna!

W łoży na galerji było razem osób z dziesięć: pani adjunktowa z Opoczna, w stroiku pono na Freta ulicy kupionym; z nią starsza od niej siostra, z gołą jednak głową, i trzy córeczki i dwóch synalów, z których młodszy zaledwo trzy lata liczy. W głębi łoży pan adjunkt, ale go nie widać, i niańka w wiejskim ubiorze, wysadzająca głowę po nad całą rodziną. Na każde słowo grających głośnie brawo, silne klaskanie w ręce, gdy na scenie płaczą, u nich nie przytłumione szlochanie, gdy się śmieją, u nich na całe gardło. W antraktach traktament, każde pakuje ogromny kawał placka albo babki. Z krzesel i parteru wszystkie usta powtarzają: — welna!

I na parterze i w krzesłach, — wełna!

Ten pan, niemłody w granatowej kapocie, ten młodszy w czarnej z potrzebami jedwabnemi, ów w długim surducie, ten we fraku, i młodzieniaszek z długimi włosami, i z krótko obciętemi, z zaczesanemi w górę, a wszyscy z wąsami, niektórzy z brodami, z ogorzałą nie pracą i wiejskiem powietrzem, twarzami, z spojrzaniem wesołym i swobodnym; — to wełna!

Ale ta wełna nie odmówi ubogiemu, pocieszy cierpiącego, dotrzyma danego słowa, poniesie ofiarę, największe poświęcenie jej nie zastraszy, ale ta wełna, jeżeli przez nieświadomość wielkiego świata zwyczajów pobudzając czasami do śmiechu, może być nawet poniekąd śmiesznością, ale nie jest wadą, nie jest zepsuciem.

Na próżno, te dwie elegantki, umyślnie przyszły na teatr, aby się z wełny naigrawać; róbcie co chcecie moje piękne damy, niebędzicie nigdy miały tak świeżej, tak zdrowej cery, jak nasze wiejskie szlachcianki. Żadna z was lepiej się nie wyśpi, lepiej się nie zabawi, goręcej się nie pomodli, żadna z was lepszą matką, córką, żoną nie będzie!

I wy eleganty, lwy miejskie, z wyrzuchowanemi lorynetami, nie naigrawajcie się z wiejskiej naszej szlachty; u niej życie życiem, u was trawieniem, oni pracują, wy próżnujecie, u nich w piersiach serce, u was próżne tylko miejsce kędy serce być powinno, u nich prostota, u was obłuda, u nich natura, u was sztuka, u nich na każdą obrazę zakipi krew w żyłach, a u was często obraza uspokaja się przy szumiącym szampanie!

Mogła być godzina czwarta z południa, a przed hotelem angielskim stoją dwa omnibusy odkryte, każdy w sześć koni pocztowych założony, po dwóch pocztylionów z konia; mundury na nich zielone, złotemi galonami szamerowane, żółte łosiowe spodnie, bolteforty, lakierowane kapelusze na głowie, trąbka zawieszona przez plecy. W restauracyi Huertego, przy długim stole osób ze czterdzieści kończyło obiad, byłoto zgromadzenie konnych wyścigów, na czele prezes, dalej komitet, dalej członkowie. Żwawo toczyła się rozmowa, panowała głośna wesołość, korki wyskakiwały z butelek! — „Panowie, godzina czwarta, „zawołał prezes wstając od stołu i jasny pokręcając wąż, „czas jechać.“ Zerwali się wszyscy, obsiedli omnibusy, a każdy z złotym biletem, zatknętym za wstążkę od kapelusza, każdy z cygarem w gębie. Pędzą czwałem przez Krakowskie przedmieście, nowy Świat, Ujazdowską aleję. Przejeżdżając przez rynsztok, omnibus podskoczył w górę; jeden z młodzieży podniósł się na miejscu: „Czy są wszyscy?“ zapytał z flegmą. „Są,“ „Nikt nie wyleciał?“ „Nikt.“ „To dobrze, pocztylion pal z bata.“ — I lecą, jak z procy, a ludzie zatrzymują się na ulicy, patrzą; pełno ciekawych w oknach, patrzą. Cóż tam dziwnego, ciekawego? czego się gawronicie? Czyście nigdy nie widzieli, kiedy czterokonne fornalki wywożą w drabiastych wozach żniwiarzy i żniwiarki z pod Zygmunta na obfite łąny nasze, okryte pszenicą i żytem? wszak to prawie to samo, z tą jednak różnicą, że w omnibusach jadą na zabawę, a w wozach do pracy; że w omnibusach sami panice, w modnym stroju, a w wozach wieśniacy w sukmanach. Ale za to w drabiastym wozie ujrzysz nieraz piękną i świeżą dziwoję, a żniwa niejednym się częstokroć słu-

bem zakończą. W omnibusie pan Ignacy proponuje: *Produce stakes* na rok 1856. koni trzyletnich czystej krwi, urodzonych w roku 1853. w królestwie polskim i stawkę ze stu dukatów naznacza. Pan Adam melduje, że klacz Miss Pepi stanowiona z ogierem Blomsbury dnia 18. Lutego 1852. roku, a klacz my Lowe stanowiona 1. Marca tegoż roku.

Za Mokotowskimi rogatkami, na prawo, na obszernych błoniach, dwuwerstowy hypodrom, wkoło na wewnątrz obwiedziony sznurem, do małych słupków przymocowanym. We środku znajdują się amatorowie konno. Na zewnątrz, po za podobnym obwiedzeniem, zbudowane na wywyższeniu dwa amfiteatra; tam siedlisko piękności! Tam ujrzysz całą arystokracją miejską, tam ujrzysz naszą pleć piękną, całe wysilenie Warszawskich modniarek; tam zasiada komitet i członkowie wyścigów. Obok sędziowie w przeznaczonym dla siebie miejscu. Wojskowe muzyki się odzywają; nieprzerwanym pasmem ciągną się pojazdy, mnóstwo ludu całą przestrzeń zalega. Na boku dzokiej, w różnobarwnych kurtkach, w maleńkich okrągłych kaszkietach, w białych spodniach, butach ze sztylpami, przy ostrogach, przeprowadzają kursowe konie, od stóp do głów nakryte ciepłymi derami.

Hrabini Firlej w towarzystwie Emilij, Wandy i Matyldy, przyjechała w otwartym Wiedeńskim koczku, zaprzężonym à la Dumont, mnóstwem konnej młodzieży otoczona. Hrabini Firlej, pierwsze w amfiteatrze zajęła miejsce, wszystkie oczy na nią zwrócone zostały, jakże piękna! wszystkie powtarzały usta. Te hołdy, te łechcące pochlebstwa odurzały ją może; była wesola, rozpromieniona, ale jej wesołości tajemnym i prawdziwym powodem było przekonanie, że jej mąż odbierze nagrodę. Lenora

klacz Angielska należąca do hrabiego Firlej w drugim wyścigu miała wstąpić w szranki.

Już zakłady porobione, zamknięte, pieniądze na ręce sędziów złożone. Już siodła i dżokiejów ważą, odsłaniają konie, stawiają na mecie.

W pierwszym kursie ścigać się miały, cztery konie krajowe. Zadzwoniono na znak, puszczone rumaki. Głuche panowało milczenie; każdy z natężeniem patrzy, wnioskuje, odgaduje. „Kary wygra!“ rzekł jeden. „Gniady wyprzedzi!“ woła drugi; „patrz, jak go siwy dogania,“ odzywa się trzeci. „Kasztanowata klacz w tyle, ale obaczycie, że odniesie zwycięstwo,“ przepowiada czwarty. A dzielni naszych niw mieszkańcy, piersiami powietrze porą, chwytają piasek kopytem; to znikają w kłębach kurzawy, to się znów pokażą oczom, a tymczasem kasztanowata prześciga karego, siwego popędza. Wszyscy dech zatrzymali, serca mocno biją, kasztanowata dostała ostrogą i przed samą metą gniadego o pół głowy przegoniła, wygrała! Odezwały się trąby, wszyscy w ręce klaszczą, rozlegają się wiwaty; obywatelowi z Podlaskiego pierwszą nagrodę z czterech tysięcy złotych złożoną oddano.

W tém ktoś się odezwał, że hrabia Firlej wycofał Lenorę z wyścigów. Maryja zbladła, oko jej łzą zaszło, cały urok wesołości zniknął, smutek ogarnął serce, bo wśród hołdów, pochlebstwa kadzideł, wśród wielkiego świata, może poraz pierwszy zatekniła za mężem, za dziećmi, za wiejskiem ustroniem, za szczęściem domowém!

W drugim wyścigu trzy tylko folbluty, czyli konie pełnej krwi, ubiegały się o nagrodę. Wygrał ją młody hrabia Władysław; dżokaj zaś jego Angieleczyk, śmiałością i zręcznością

swoją, całą publiczność zadziwił. Zawołał go prezes wyścigów, chcąc sownie wynagrodzić, a gdy zapytał: „what is your name,“ (jak się nazywasz) „nierozumiem,“ odpowiedział. „Jakto, toś nie Anglik?“ Nie, jaśnie wielmożny panie!“ „A jakże się nazywasz?“ „Puncz po angielsku, o po polsku Bartek z Winogóry, jaśnie wielmożny panie.

Dnia tego samego trzy jeszcze odbyły się wyścigi, z których w przedostatnim, złożonym z samych włościańskich koni, Grzela z Czerniakowa zwycięzczą ogłoszonym został. Czekala jeszcze publiczność Warszawską, niespodzianka, nowość. Cztery hoże i młode dziewczyny z Wilanowskiej i Czerniakowskiej włości, stanęły w szrankach, dosiadły koni, i jak drugie amazonki, tylko nie z dzirytem, ale tęgą różgą w rękę puściły się pędem wiatru w zawód, i Marcysia z Willanowa koleżanki swoje wyprzedziła.

„Dziwne się rzeczy dzieją na świecie,“ rzekł prezes sprowadzając panią Emilję z amfiteatru, „w wyższym stanie komunizm, w niższym emancypacyja, nie wiem na czém się to wszystko zakończy.

Zakończyła się ta chwalebna i użyteczna zabawa, która zamilowanie w koniach utrzymując w naszej młodzieży, zatrzymuje ją na koniach.

Przyganiać temu, broń mnie Boże, niech mi tylko będzie wolno uczynić uwagę, że mając własne krajowe konie, własną mowę, własne zwyczaje, toż samo by odbyć można, nie przyswajając sobie owęj Angielszczyzny, bez której obejśćby się można. Czemuż Muzułmanie i Czerkiesi, nawet w Warszawie, na własnych siodłach, na własnych harcują koniach? Na co nam

owych trenerów, dzokiejów, z cudzoziemska ubranych, i tych: *steep-le-chaisów*, i tych Voll-blutów. Panowie Anglicy, nieujmuję wam bynajmniej, ale niegorzój od was siedzimy na koniach, przez grzeczność nie powiem, że lepiej, czemużbyśmy nie mieli sadzać na naszych koniach polskiej krwi, zamiast Zemsa, Johna, Puncza; Janka, Grzełę lub Bartka, i to w ich właściwym stroju? Wszak nasze Krakowskie chłopaki zwinniejsze od was i do konia i do dziwoi, i do hałupca, kiedy mu grajek na skrzypcach utnie od ucha mazura albo krakowiaka?

To mi przypomina, co nasz znakomity poeta ¹⁾, synowcowi swojemu, chcąc go na dobrą drogę skierować, przed laty powiedział i skierował go zdrową radą, bo stał się z niego mąż znakomity, pełen nadziei, pełen przyszłości, kiedy go śmierć nie-litościwa krajowi wydarła.

Temi samemi słowy niechaj mi wolno będzie, wyścigi konne zakończyć:

Oj dobrodzieju!

Mniej angielszczyzny,

Oj dobrodzieju

Więcej polszczyzny;

Oj dobrodzieju

Więcej oleju!

We trzy dni po konnych wyścigach młodzież Warszawska dawała piknik u Ohma, na którego Maryją Firlej zaproszono na gospodynię. Odmówić chciała, bo już zaczynał ją męczyć, nudzić wielki świat i jego mieszkańce; kiedy mąż to spostrzegłszy, sam ją namówił do przyjęcia tak pochlebnego wyboru.

¹⁾ Franciszek Weżyk.

Salę Ohma przeistoczono w ogród kwiatowy, bo nie tylko, że cała była jakby wonnemi otoczona klombami, ale ściany okrywały z białego muszlinu zasłony, gęsto spięte bukietaми świeżemi. Wnijście do sali i dziedziniec, uroczy przedstawiały widok. Nie żalowano kosztów, nie schodziło na niczém, bo młodzież nasza nigdy się nie oblicza z kieszenia, a gust modny zaszczepili u nas przed laty Francuzi; to jedno co nam z ich pobratymstwa zostało! Co tylko się jeszcze znalazło w Warszawie z pierwszego towarzystwa, ujrzałeś na tym pikniku. Około godziny ósmej wieczorem przybyła Marya Firlej z mężem; zagrała muzyka i bal z gospodarzem pikniku rozpoczęła. W godzinę później Czesław powrócił do domu, żona zaś jego do późnej nocy pozostać musiała.

W wygodném krześle, obok nie wielkiego okrągłego stolika, siedział już nie młody, jeszcze nie stary mężczyzna w ciemnym surducie, czerwona krymka na głowie, z pod której przebijające się gdzie niedzie srebrzyste wymykały włosy. Mógł mieć blisko lat pięćdziesięciu, a jeżeli głębokie zmarszczki przed czasem porwały twarz jego, jeżeli się w oczach smutek przebijał, jeżeli cierpiał, nigdy skarga z ust jego nie wyszła, chyba ła skrycie do serca spłynęła.

Obok niego paliła się lampa, przy niej leżał pęk dzienników i gazet, ale Czesław nie czytał. Trzymał na kolanach czteroletnią Marysię, dziewięcioletni Staś u nóg ojca na ławeczce siedział, bawił się ze starym małym wyżełkiem, chociaż ten nie chętnie wesołość jego podzielał. Jeżeli pieszcoty dziecinne rozchmurzały czasami zaspione czoło Czesława, jeżeli uśmiech kiedy

niekiedy przez jego usta przeleciał, podobnym był do tej chwilowej gwiazdy, która zaledwo błysnie w przestrzeni, spada i gaśnie.

„Nie sprzeciwiaj się staréj Effy,“ rzekł Czesław do Stasia, „daj jéj pokój, patrz jak ona jest smutną.“ „Ona smutna za mamą,“ zawołała Marysia. „Smutna!“ powtórzył ojciec z westchnieniem; „ale już po dziesiątej,“ dodał, „czas spać, zmówcie paciorek przy mnie, trzeba Bożi podziękować za dzień szczęśliwie przepędzony, poprosić o jutro.“ Staś i Marysia, uklękawszy przy ojcu, pacierz zmówili. Gdy powtarzali: „Boże daj zdrowie papie, mamie,“ Marysia odwróciła się, jakby czegoś szukała. „A mama gdzie?“ zapytała. „Mama na balu,“ odpowiedział Czesław, wziął potem małą dziecinę na ręce, przycisnął do serca i sam zaniósł do sypialnego pokoju. Staś pobiegł za ojcem. Po jakimś czasie wrócił Czesław do swojego pokoju, siadł przy stoliku od pisania, brał pióro w rękę, lecz pisać nie mógł; otworzył szufladę, wyjął z niej pęk listów, przerzucał, chciał czytać, nie mógł. Opartszy głowę o ręce, zanurzył się, zasnął w myślach, łąza tylko spływając po jego licach była oznaką, że to był sen na jawie!

Godzina druga po północy zaledwo wybiła, turkot pojazdu dał się słyszyć, zaszczekała stara Effy, Marya weszła do pokoju Czesława. W białéj sukni balowéj już nieco zgniecionéj, z bukietem u boku już nie świeżych kwiatów, jakże jeszcze piękną była, chociaż na twarzy nosiła znaki znużenia, chociaż zabawy światowe starły tę dziewiczość, tę krasę, którą tylko szczęście w domowém pożyciu dać i zachować może; chociaż blask jéj oczu przyćmionym został, a uśmiech zadowolenia z jéj ust zni-

knął, czy znuzeniem bezsennych nocy, czy też wyrzutem sumienia spędzony. „Czesławie, ty nie śpisz jeszcze?“ zapytała wchodząc do pokoju męża. „Czekam!“ odpowiedział Czesław. „Maryo,“ po niejakiem dodał przestanku, „jakżeś się dzisiaj bawiła?“ „Bawiła?“ zawołała, „o mój drogi! czyliż ja tam po zabawę jadę? czyliż ją tam znaleźć można?“ „Maryo,“ przerwał jej Czesław, „że młody człowiek szuka zabaw, uciechy w odmęcie wielkiego świata, temu się bynajmniej nie dziwię, szuka tego, czego nie zna; każda rzecz dla niego nowością, każda go rzecz zadziwia, a tem samém jeszcze bawi. Lecz kto już doznał jego próżności, kto go raz porzucił, a do niego wraca, widać, że stracił spokój, gdy szuka odmětu.“ „Czasami,“ odezwała się Marya, „rzucamy na czas niejaki spokojne domowe pożycie, wyrrywamy się, że tak powiem, z rąk szczęścia, ażeby powrót nasz podwoił jego rozkosze, ustalił trwanie.“

Przestała mówić, siadła obok męża, on spojrzął na nią, a w jego spojrzeniu malowała się miłość i wrócona nadzieja. Po niejakiem czasie milczenia: „Na co probować,“ rzekł Czesław, „próby są niebezpieczne. Ten nie jest prawdziwie szczęśliwym, kto na tém, co posiada, nie poprzestaje, kto pragnie podwojenia tego, z czem mu dobrze; ten się lęka utraty, kto utrwalenia żąda. Powtarzam, próby są niebezpieczne, kto raz z domowego wyidzie pożycia, choćby dla próby, czasami do niego trafić nie zdoła. Slizgie są posadzki miejskich salonów, kaźden po nich krok grozi upadkiem. Jedwabne słówka pochlebców, łatwo się wciskają do przekonania, łatwo im wierzymy, bo miłość własną lechcą! Maryo,“ mówił dalej, „rzućmy wsteczném okiem w tę przeszłość, która się tobie może już daleką zdaje, mnie się zaś widzi, że to

było wczoraj. Pomnij przed dziesięciu laty, kiedym ciebie po raz pierwszy ujrzał; podobałaś mi się od razu, zobopólny pociąg wnet nas przybliżył, a coraz lepsze poznanie przywiązało do siebie. Pamiętam, kiedym po raz pierwszy wyrzekł, że ciebie kocham. W uśmiechu, jaki na twoich ustach wznieciłem, spostrzegłem nieco niedowierzania, lecz więcej daleko radości. Pamiętasz, kiedy nawzajem pierwszy raz przyznałaś się, że mnie kochasz. Pamiętasz nasze listy codzienne, nigdy dosyć długie, nigdy dosyć czułe! Pamiętasz nasze wieczory przepędzone razem, jak prędko schodziły, jak jedenasta prędko dla nas biła! Pamiętasz nasz ślub, kiedym w obliczu Boga wyrzekł: Maryo, biorę sobie ciebie na wieki! kiedysmy miłość i wiarę poprzysięgli sobie! Odtąd połączeni z sobą usunęliśmy się od miasta, bo tyś była dla mnie, ja dla ciebie światem! W wiejskiem naszym zaciszu pędząc dni nasze, pamiętasz, kiedys po śniadaniu w moim kokoju siadała, i kiedym pracował, pieszczotami swojemi przerywała mi pracę? Tam po obiednie godziny, tam wieczory nasze spędzaliśmy! Te same ściany były świadkami naszego szczęścia, a wyrazy miłości i przywiązania obijały się o nie. Wtedy przyjazd nawet sąsiada stawał się natrętnym, bo nam obcy zawadzali, czas się zawsze za krótkim wydawał, i przy końcu każdego dnia zdawało nam się, żeśmy nie mieli go dosyć do powiedzenia sobie wszystkiego. Pamiętasz, kiedys wyrzekła do mnie: Czesławie, jestem matką! dodałaś, wszakże mnie przez to mniej kochać nie będziesz? Maryo, oto list, przed dziesięciu laty przez ciebie do mnie pisany, przeczytaj teraz, coś wtedy pisała.“ Marya drżącą ręką list wzięwszy: „Mój drogi,“ czytała, „zaklinam ciebie na wszystko, abyśmy z sobą już połączeni przenieśli

się na wieś, abyśmy tam w odosobnioném ustroniu odosobnili się od wielkiego świata; nadto go znamy, żeby za nim tęsknić, jużśmy ludzi poznali, żyjemy teraz dla siebie!“ „Tak pisałaś do mnie przed dziesięciu laty, a jednak teraz....“

Przestał mówić; Marya zerwała się z miejsca, pobiegła do swojego pokoju i w kilka minut wróciła, już nie w balowej sukni, już nie z bukietem u boku, ale w jedwabnym rannym szlafrocuku, z gładko uczesanemi włosami, z uśmiechem na ustach, z miłością w sercu, ze szczęściem w spojrzeniu!

„I teraz,“ wyrzekła łzawym głosem, „twoja Marya dla ciebie jedynie żyć pragnie!“

Siadła na kolanach męża, uściskała go z czułością, i w sercu jego znalazła znowu ten spokój, na utratę którego tak się niebacznie narażała. I Effy uradowana z powrotu swój pani, już nie mogąc na jej kolana wskoczyć, lizła nogi z radości.

Pierwszy promień słońca zastał jeszcze Maryą w objęciach Czesława. Bezsennie noc strawiona, jednak jej nie znużyła, gdyż miłość dodawała siły do zniesienia szczęścia! Wróciwszy do swojego pokoju, Marya uklękawszy, prosiła Boga o przebaczenie, przy niej Czesław dziękował, że mu powrócił żonę!

Ż końcem miesiąca Czerwca zakończyły się i konne wyścigi i jarmark na wełnę; miasto przedstawiało ową parterową salę w teatrze, kiedy podczas antraktów wysypie się cała prawie publiczność, aby odetchnąć na chwilę świeżem powietrzem, lub się w bufecie posilić. Również i publiczność Warszawska wysypała się z miasta, chcąc odetchnąć powietrzem, ale wiejskiem, chcąc

wiejskiem życiem się posilić, pokrzepić, nowych sił nabrać. Miałoby to być podobne, powtarzam, do pustej parterowej sali. Spotykałeś po ulicach tylko urzędników znudzonych codzienną pańszczyzną, rzemieślników bez zajęcia, interesentów bez interesów, faktorów idących na spacer, żołnierzy zaciągających na wartę, lub z niej schodzących. Przed sklepami stali kupcy z założeniami rękami, w otwartym oknie restauratora Francuzkiego spał garson, z głową opartą na ręku, nie miał usługiwać komu; na placu spał doróżkarz na koźle swojej doróżki, nie miał wozić kogo; nawet w bramie spał stary Kundel, stróż domowy, nie miał na kogo czekać.

Od dwóch tygodni ożywiający oddech powietrza zamieniać się zaczął w pałą skwar lata, ani kropla deszczu nie odwilgotniała ziemi, ani najmniejszy powiew nie odświeżył powietrza; termometr do dwudziestu kilku stopni pokazywał ciągle, słońce paliło ogniem. Duszące noce były bez rosy, ptaki nawet zaprzestały śpiewu, w pobliskie uleciały ustronia. Są chwile w życiu, kiedy na zewnątrz krew pali, lodowacieje na wewnątrz, chociaż nic nie boli, nic nie dolega, a jednak serce bije gwałtownie, myśli się płaczą, człowiek przeczuwać się zdaje wielkie nieszczęście!

Już od dni kilku wieść zatrważająca, grożąca, wieść o zjawieniu się cholery w kraju, po mieście rozchodzić się zaczęła. Jednego ranku uderzono w dzwony, strwożona ludność wybiegła z domów, a głos ponury i grobowy, cholera w mieście, tyśiączne usta powtórzyły z przestachem. Na pierwszą wiadomość zarazy Czesław z żoną i dziećmi chciał wyjeżdżać na wieś, zasiągnąwszy jednak rad lekarskich, i posłuchawszy rozsądku, wo-

łał pozostać w Warszawie, jak być oddalonym od wszelkiego ratunku i pomocy.

Zamknięto widowiska publiczne, ze szkół porozpuszczano studentów, bióra puste, rzemieślnikom ręce do pracy opadły, potracono głowy. Wszyscy się hurmem do kościołów cisną, kora przed ołtarzem Boga, ręce wyciągają do nieba, modlą się, przepraszają i proszą; bo kiedy wielkie dotknie nieszczęście, wtedy człowiek przypomina sobie, że zgrzeszył, obiecuje poprawę, ucieka się do wiary; wiara pokrzepia siły, przywraca nadzieję!

Dzień szedł po dniu, a plaga niestety coraz się powiększała, a jaskrawe słońce nie opuszczało widnokregu, przyświecało śmierci i pogrzebom. Trwoga powszechna ogarnęła umysły, palec Boży dotknął wszystkie bez różnicy stany, śmiertelna zaraza zarówno dotykała chałupę najbiedniejszego wyrobnika, jak wchodziła przez otwarte podwoje do marmurowych komnat bogacza; zarówno siadała na łachmanami okrytym barłogu, jak na puchowych wezgłowiach złotem i jedwabiem tkanych.

Po ulicach spotykałeś jeno przesuważące się smutne, blade, wynędzniałe, żalobą okryte postacie; tu matka troje utraciła dzieci, mąż stracił żonę, dzieci ojca i matkę, brat brata, siostra siostrę, kochanek kochankę; spotykałeś po pomoc biegnącego do lekarza, po lekarstwo do apteki, po ratunek duchowny do pobliskiego kościoła; spotykałeś niosących cholerycznych na tragach do szpitali. Jeżeli nagle usłyszałeś turkot, to lekarz, co koń wyskoczy, z domu do domu, z ulicy na ulicę pędzi; to pogrzeb za pogrzebem, karawan zwolna za karawanem postępuje, a nikt nie idzie za trumną, ani dzieci za rodzicami, ani rodzice za dziećmi, bo

przestrach sparaliżował serca, bo gdzie śmierć dokoła, tam głos przyrodzenia niemy. W każdym kościele, przy każdym ołtarzu żałobne odbywają się nabożeństwa, a ementarz powązkowski jakby plugiem poorany na nowo, dla nowych przybyszów stare powyrzucał kości!

Kiedy nieszczęście przebierze miarę, tam się wielkie odkrywają cnoty, gdzie wiele ofiar, tam i poświęcenia bez granic! Ze wszystkich stron sypią się hojne dary, są chwile w życiu, kiedy skąpy nawet przestaje być skąpym, bo jeżeli obfitość i zbytek wszystkiego, mogą popsuć, bieda daje do rozmyślenia, a strach poprawia człowieka.

Skarby bogacza stoją otworem, a ubogiego węzelek, w którym chował ciężko zapracowane kilka sztuk pieniędzy, rozwiązany dobroczynnym sercem, wypróżnia się dla nieszczęśliwych!

Wszędzie zbierają składki na opatrywanie, dozorowanie chorych, na polepszenie mizernej stawy ubóstwa, a tém samym zabezpieczenie zdrowia. Klasztor ojców kapucynów obleżony od wschodu do zachodu słońca; sami ubodzy, utrzymujący się jedynie z miłosierdzia, tysiące głodnych karmią, bo Bóg nad nimi czuwa i codziennie u nich dopełnia cudu rozmnożenia chleba. Na każdej prawie ulicy pozakładano choleryczne szpitale. Tam młodzież z pierwszych rodzin w kraju ubiega się na wyścigi, aby porządek zaprowadzić, dozór urządzić, pomoc skuteczniejszą uczynić. Tam ujrzysz niejednego eleganta, wczoraj w salonie tak ładnie polkę tańcował, w aleach tak harcował na angielskim koniu, za kulissami takie próby odbywał, w restauracyi Michała lub Heurtego tak śpijał szampana, a dzisiaj zaledwo miał czas zdjąć żółte rękawiczki, jeszcze w modnym rejtraku, cały skropiony

werweną; przy łóżku konającego, trzyma mu głowę, zimny pot batystową chustką z twarzy obciera, słowem go pociesza, uczynkiem ratuje, a myślą wznosi się do Boga! I kiedy umierający, spowiedź ostateczną odbywa, i on odbywa ze skrucłą rachunek własnego sumienia, a jeżeli dużo grzeszył, dużo mu odpuszczeniem będzie.

Tymczasem szedł dzień za dniem, ofiara za ofiarą, śmierć grasowała nielitościwie, bo zaraza, zamiast się zmniejszać, coraz się powiększała, wzmagala, po kilkaset osób umierało od pory do pory; gdzie rzucisz okiem, żałoba, kędy zasłyszysz, jęk, płacz, narzekanie!

Znałem pana Ksawerego, człowiek uczciwy, urzędnik prawy. Od lat piętnastu ożenił się z przywiązania, miał pięcioro dzieci, utrzymywał własną pracą całą rodzinę, i ojca, starego legionistę; był szczęśliwy, bo miał czyste sumienie, żył w miłości bliźniego, w bojaźni Boga, nie miał wiele, ale przestawał na swoim. Przechodząc obok domu, kędy mieszkał pan Ksawery, jakby przezcuciem wiedziony, zatrzymałem się, wstąpiłem. Wchodzę do pierwszego pokoju pusto, w drugim stoi na środku trumna, obok niej dwie pomniejsze, świece palą się do koła. Pytam? — Pani i starsza jej córka, odpowiadają, od trzech dni umarły, już pochowane; pan i dwoje dzieci umarło wczoraj, dwoje pozostałych wzięła do siebie krewna. Obok trumny Ksawerego na stopniach katafalku siedział stary ojciec, złamany wiekiem, zgnieciony nieszczęściem. Podniósł siwą głowę, spojrzął na mnie okiem zagasłym, jakby obląkanym, uśmiech, podobny do blasku dogorywającej lampy, przeleciał przez jego usta, łaza pociekła po twarzy zoraną wiekiem i boleścią; nie wymówił słowa, a w mil-

czeniu jego było: Boże, niech się święta wola twoja stanie! Nie minęło tygodni kilka, starzy towarzysze broni, odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku starego legionistę, ojciec poszedł za dziećmi.

Któż nie znał w Warszawie Stefanią P...? wyższego towarzystwa ozdobę, cierpiących i biednych ucieczkę? Młoda, piękna, dobra, była szczęściem i chlubą rodziców, była celem ubiegań i starań młodzieży. Ale Stefania jeżeli umiała sobie zjednać serca wszystkich, jedno tylko serce oddalonego od kraju, tęskniącego za niem młodzieńca wybrała, jemu los, jemu przyszłość swoją powierzyła, życie poświęciła. Najlepsza, najprzykładniejsza żona i matka oddana nowym obowiązkom, w nowo obranym zawodzie postępując z chlubą, byłaby odnowiła u nas przykład owych matron polskich, owego coraz to oddalającego się podania. Tego lata Stefania P... chcąc odwiedzić ojca i siostrę, porzuciła ustro- nie kędy szczęściem drugich była szczęśliwą, i z dwojgiem drobnych dzieciak przyjechała na kilka tygodni do Warszawy. Żegnając ją mąż, nie wiedział, na jak długo się z nią rozdziela, nie przypuszczał nawet, że ostatnie spojrzenie odjeżdżającej żony było spojrzeniem ostatniego pożegnania. Zaledwo cholera zjawiała się w mieście, Stefania czém prędzej wyjeżdżać miała, w tém z rana dotknięta chorobą, tegoż samego wieczora żyć przestała. Kiedy matka chorowała, w drugim pokoju bawiły się małe jej dzieci; ich śmiechy rozlegały się jeszcze kiedy konała, i wtedy tylko ucichły, kiedy ojciec Stefanii, starzec okryty siwizną wszedł do nich i rzekł głosem rozpacz: „Biedne sieroty, utraciłyście matkę!“ a łkania i płacz obecnych połączony ze śpiewem kapłanów przytłumił głosy dziecinne.

Pan Stanisław zaledwo lat dwadzieścia skończył, utraciwszy rodziców, znaczny po nich majątek w żyznej ziemi odziedziczył i wstąpił w bratnie szeregi. W zawodzie wojskowym nie długo zostawał.

Nastąpił rok 1813, wypłaciwszy dług ojczyźnie wrócił na wieś i wnet się z młodą, piękną, powabną choć niebogatą osobą ożenił. Powtarzam, był majątnym obywatelem, ale któryżże majątek wystarczy, gdy rozchód przenosi przychód, gdy człowiek żyje na dzisiaj, nie ogląda się na jutro. Pan Stanisław urządziwszy dom na pańską stopę, na rozcież podwoje otworzył uszczęśliwionym, że mają gdzie cudzym kosztem się zabawić. Uczty i biesiady bez przestanku następowały po sobie, po całych nocach grzmiała muzyka, młodzież hasała. zbytek i wydatki coraz się powiększały. Ale nadciągnięta strona prędzej czy później pęknąć musi. Majątek źle zagospodarowany, mniej czynić począł, potrzeby się powiększały, nie wystarczały intraty, długi zaciągnięte rosły, następowały terminy opłat, brak kredytu czuć się dawał. Ale gdzież niema lichwiarzy, tego ostatecznego ratunku utraciuszów? tego początku ostatecznej ich ruiny?

Pani domu przeczuwając, że wydatek zniszczył dostatek, lękając się, aby nie ustał dawny tryb życia, niby dla odwiedzenia krewnych, zabrawszy obie córki z sobą, wyjechała w dalekie strony, i odtąd nie powróciła więcej do męża.

Pan Stanisław pomiarkował się, acz późno, wziął kredkę w rękę, zaczął liczyć, a dostrzegłszy, że długi równają się wartości majątku, majątek sprzedał, wierzycieli zapłacił, ale mu nic nie pozostało. — Co mówię? pozostała mu żona, o którą może nie wiele już dbał; pozostały dwie córki, obie bogato za

mąż wydane. Nie mając więcej co robić w rodzinnych stronach pan Stanisław, gdy mu się z dawniej świetności okroiła bryczka, cztery konie i parę set talarów, siadł do bryczki, zapalił fajkę i ruszył za żoną i dziećmi. Ale chociaż w samej sile wieku, chociaż już był jak to mówią i na wozie i pod wozem, dużo widział, dużo doświadczył; nie znał jeszcze ludzi, kiedy rachował na nich, kiedy całą przyszłość opierał na szlachetności serca ludzkiego. Po długiej i męczącej drodze dojechał nakoniec do celu życzeń, na łono rodziny, niestety wyrodnej! Żona z nim widzieć się nie chciała, zięciów nie zastał w domu, a córki, z których jedna tytułowała się hrabiną, a obie opływały w dostatki, raczyły mu ofiarować wsparcie. W piersiach Stanisława zawrzała krew szlachecka; pogardził miłosierdziem, i tego samego dnia wyjechał. Nie mając o czém wracać, sprzedał za bezcen konie i bryczkę i powracającym furmanem żydowskim dostał się do Warszawy. Przyjechawszy do miasta, kędy niegdyś często bywał, dużo pieniędzy wyrzucił, kędy go wszyscy majątnym panem znali, nie wiedział co począć, bo z głodu umrzeć nie chciał, pracować nie umiał. Z początku dawni znajomi, spotkawszy go na ulicy, za ukłon witali go jeszcze ukłonem; ale skoro jednego, drugiego, trzeciego o pożyczenie kilku talarów prosił, ten nawet, któren go niegdyś zwał najukochańszym przyjacielem, odwrócił się od niego, już go poznać nie chciał. Głód i potrzeba najlepszymi nauczycielami. Pan Stanisław poszedł po rozum do głowy, a nie był głupi, odebrał staranne wychowanie, posiadał języki. Najawszy zatem stancyjkę na drugiem piętrze w saskim hotelu, lekcy francuzkiego języka, po dwa złote za godzinę, zaczął dawać. Przez lat kilka szło mu nie źle, lekcyi

miał kilka na dzień, to mu wystarczało na opędzenie pierwszych potrzeb życia. Miał czém stancyą zapłacić, opalić, miał za co zjeść i odzienie sobie sprawić. Nieraz dawny sąsiad ze wsi namawiał go, aby do córek pisał, twierdził, że one, dowiedziawszy się o biednym stanie ojca, los mu zapewnią, nie zapomną o nim. „Mam z czego żyć, odpowiedział słusznie obrażony Stanisław, i nigdy się do tego stopnia nie upodłę, abym własnych dzieci o jałmużnę prosił.“ Ale burzliwie przepędzona młodość odzywa się zawsze w późniejszym wieku. Chociaż Stanisław moralnie kontent był z siebie, był wesół; fizyczne bóle zaczęły mu dolegać, a przedwczesna starość się odzywać. Odtąd i lekcye mniej regularnie dawał, i zapłata za nie coraz się uszczuplała, coraz mniej było za co dzień opędzić, głód nakarmić, stancyą zapłacić, i płaszcz zastawić musiał, i łokcie wychodziły z surduta i palce z butów. Pomimo jego wiedzy osoba z miłosiernym sercem napisała do jednej z córek Stanisława, gdyż druga obłąkania zmysłów dostała, donosząc o stanie, w jakim się jój ojciec znajduje, przypominając nieznacznie, że jeżeli może w czémkolwiek zasłużył na to, nie przestaje pomimo tego być jój ojcem. Bogata pani odpowiedziała: że mocno się dziwi, iż ojciec w takim się położeniu znajduje, i jeżeli tak jest w istocie, może do niej przyjechać, a chociaż dla niego w pałacu, dla wielości rezydentów, miejsca wolnego nie ma, ulokuje go w jednym z folwarków swoich i wyznaczy mu dostateczną ordynaryą na utrzymanie.

Coraz dotkliwsza nędza już Stanisława z drugiego piętra na poddasze hotelu wypchnęła; kiedy mu kto obiad kupił, to go zjadł, kiedy nie, to kawałkiem suchego chleba i kubkiem wody

opędzał głód i pragnienie. Jedna tylko litościwa dusza, pamiętając na przeszłość, nie zapomniała o nim. Stary Maciej za lepszych czasów przez lat piętnaście służył u niego za lokaja, i opuścił wtedy, kiedy przestawszy być panem, mieć służącego już nie był wstanie. Odtąd Maciej służywał po dworach, nakoniec dostał się do Warszawy. On jeden czasami uciulanych kilka złotych wsunął dawnemu panu w rękę; on nieraz obiadem swoim z nim się podzielał; a gdy przyszła zima, Stanisław na poddaszu wytrzymać nie mógł, na noc go do swęj izdebki przyjmował, własnego łóżka ustępował z radością. Pewnego dnia, wśród najsilniejszej cholery, tragarze z hotelu saskiego wynosili cholerycznego do szpitalu zwanego Koszary Sierakowskich, kaźden umykał z drogi, nie chcąc się spotkać z zarazą. Pewien człowiek, już nie młody, po prostu, ale ochędoźnie ubrany, spojrział na chorego, i pomimo okropnych śladów choroby, Maciej dawnego pana poznał. Odprowadził go do szpitalu, ztamtąd pobiegł do siebie, po kilkadziesiąt talarów, stanowiących całą jego fortunę; wstąpił do znajomego lekarza, z nim do szpitalu powrócił i odtąd pana swojego już odstąpić nie chciał i nie odstąpił do śmierci.

Nadaremne były starania pocziwego służy, choroba straszliwe postępy czyniła, a wynędzniałe ciało brakiem potrzebnych wygód, a razem i moralnych cierpień, nie mogło długo wytrzymać. Wśród jęku i narzekania cierpiących, opatrywanych przez pijanych felezerów i najemne baby, wśród swędu, smrodliwego zaduchu, brudów, na które sama natura się wzdryga, Stanisław, ów pan milionowy, milionowych córek ojciec, w szpitalu, opuszczony od wszystkich, wyjąwszy od starego służy, musiał spo-

kojnie się przypatrywać zbliżającej się śmierci, ale przez jakie cierpienia moralne przechodził, tego żadne ludzkie pióro nie jest w stanie oddać. Po czterdziesto-kilko godzinném pasowaniu się życia ze śmiercią, wśród którego wszelką zachował przytomność umysłu, miał czas się spowiadać i opatrzonym zostać świętymi sakramentami. Maciej go nie odstępował na chwilę. W krótkich przestankach boleści, rozmawiał z Maciejem o córkach, żądał powrotu do zdrowia; bo był przekonany, że z czasem dzieci powrócą do ojca, powtarzał: „one mnie jeszcze kochają, nie zapomną o mnie!“ W obszernej sali szpitalu, kędy kilkudziesięciu cholerycznych na twardej pościeli leżało, pomiędzy nimi Stanisław dogorywał. Obok niego, znużony całodziennym trudem, stary Maciej zasnął na ławie. Późno w noc ocknął się, jedna lampa drżącym płomykiem oświecała salę; patrzy, łóżko próżne, ... zrywa się, ... biegnie; budzi śpiącego dozórce, pyta o Stanisława? „umarł przed godziną, odpowiada dozorca, ciało jego co tylko do trupiarni wyrzucono.“ Maciej porywa lampę, wychodzi. W małym dziedzińcu, poza szpitalem, kilkadziesiąt trupów obdartych z odzienia, nagich, leżało na bruku; na samym wierzchu Maciej znalazł swojego pana. Zbliża się do niego, dotyka ciała, zimne; kładzie rękę na serce, serce jeszcze bije; już chciał biedz po ratunek, kiedy Stanisław, jakby magnetyczną siłą poruszony, podniósł się, stanął na nogach, oczy roztworzył, poznał Macieja, a wyciągnawszy rękę: „Przebaczam, błogosławię!“ wyrzekł grobowym głosem, upadł i skonał; a stos trupów wstrząśnięty jego upadkiem runął i ciężarem go swoim pochłoniął.

Już nie było prawie domu w Warszawie, w którymby nie

było ofiary; cholera nielitościwie zmiatała wszelkich stanów mieszkańców, a gniew Boga, gniew sprawiedliwy i wielki, jeszcze się przebłagać nie dawał. Lekarze pomimo najlepszych chęci, największego poświęcenia rady sobie dać nie mogli, potracili głowę. Niektórzy z nich przez kilkanaście nocy nie zmrużywszy oka, zaledwo się na nogach utrzymać mogli. Z tych liczby Wilhelm Malcz późno powróciwszy pewnego wieczoru do domu, gdy go zupełnie opuszczają siły, kładąc się do łóżka, rozkazał służącemu, aby nikogo nie wpuszczał, pod żadnym warunkiem go nie budził, chciał bowiem choć przez jedną noc wypocząć. Nie mija godzina, staje doróżka przed bramą, młody nieznajomy człowiek z niej wysiada, do przedpokoju wchodzi, budzi służącego, o pana Malcza się pyta. „Nie masz w domu.“ „Nie prawda, jest.“ „Ale śpi, nie pozwolił, abym go budził.“ „To nic nie szkodzi, ja chcę się z nim widzieć koniecznie.“ „To nie podobna, mój pan chory.“ „Doktór chorować nie powinien,“ odpowiedział zniecierpliwiony młodzieniec, odepchnął służącego i gwałtem wszedł do pokoju doktora; a gdy ten się wymawiał, że przez żaden sposób wstać nie może, zapaleniec, któremu szło o uratowanie kochanki, biegnie na policyjną, z żandarmami powraca, gwałtem Malcza wyciąga z łóżka, do doróżki wsadza i do chorój zawozi. Chorą wyratował nasz lekarz, ale nie minęło parę miesięcy, wprawdzie z inną chorobą, jednak może z tego wypadku rozwiniętej, lub pogorszonej, umarł; a chorzy, których był ratunkiem, biedni, których był opieką, długo ze łzami powtarzać będą: „nie masz Malcza!“

Krzyże, figury świętych na placach i ulicach miasta w dzień uwieńczone kwiatami, w nocy oświetlone lampami, ciągle lud ota-

czał, gorąco się modląc, śpiewając pieśni nabożne. Processyje z kościoła do kościoła przechodziły. Jedni hojne ofiarują dary, drudzy na ołtarzach bogate składają vota, inni do miejsc cudownych przedsiębiorą pielgrzymki. Cóż dopiero powiedzieć o poświęceniu się bez granic Panien Miłosiernych, tych świętych dziewic, których jedyném posłannictwem na ziemi nieść ulgę cierpiącym, jedyną pociechą pocieszać, jedynym celem, bóle uśmierzać, jedyną radością łzy ocierać, jedyną nadzieją niebo! Cóż powiedzieć o téj pani domu, której, gdy zachorowała służąca, chociaż wszyscy radzili odesłać ją do szpitalu, ona dla niej pokój własny na szpital zamienia, własne dziecko z obawy zarazy od siebie oddała, przyjaźni powierza, a sama nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, przez trzy dni i trzy noce nie odstępowała choréj, staraniem, pieczołowitością, wszelkim ratunkiem ją otacza, śmierci wydziera, do życia przywraca. Cóż powiedzieć o tych młodych osobach, cichaczem wymykających się z rodzicielskiego domu, aby nieść pomoc, kędy pomocy potrzeba, dozorujących chorych, dopełniających przy nich najprzykrzejszych, najbardziej odrażających posług, z całą siłą, z całym poświęceniem się, wyrzeczeniem siebie saméj ewangelicznej niewiasty.

Podczas gdy zaraza najsilnieéj grasowała, a ogrom nieszczęścia podwajał wysilenia, odkrywał nie jedną utajoną cnotę, otwierał skarby serca ludzkiego, były niektóre domy, kędy dla odurzenia, zapomnienia, wśród grożącej burzy, odrętwiałość i obojętność; coraz to nowe wymyślano zabawy, jak chcący się upić, coraz to nowe i coraz mocniejsze wynajduje trunki; z kąd słyszano nie raz odgłosy wesołości i śmiechy łączące się z jękiem konającego i łkaniem pozostałych.

W jednym z takich domów, w obszernej komnacie, strojnej smakiem odrodzenia, rzęśisto oświeconej, bo światło smutek oddala, kilkanaście osób wesoło przepędzając wieczór, nie myślało nawet o pladze dotykającej i miasto i kraj cały. Głos gospodyni domu odzywał się przy towarzyszeniu melodyjnych akordów fortepianu; kilka kobiet otoczonych młodzieżą, szarpały nielitościwie bliźniego, przy hucznych oklaskach każdego dowcipnego cięcia, każdego jadowitego ukąszenia. Przy dwóch stolikach osoby płci obojęd, z namiętną zapalczywością grze się oddawały.

„Czy wiecie państwo nowinę?“ rzekł młody Edmund, wchodząc do pokoju. „Cóż takiego?“ zapytano. „Pani S... umarła z cholery.“ Muzyka ucichła, Włoską arya przerwano, kaźden z grających został jakby skamieniały z kartami w ręku, głębokie nastąpiło milczenie, bo wszyscy panią S... lubili, kochali, uwielbiali! Po niejakiem czasie: „gram w trefle,“ odezwał się pan Wiktor, „w coeur,“ rzekła kasztelanowa; „bez a tout,“ zawołał exreferendarz. Smutek przerwany, wrócono do Włoskiej arii, do fortepianu, do wesołej obmowy, wrócono do gry z większym jeszcze wigorem; tylko przyjaciel stary domowy uważał, że się świece coraz bledszem światłem paliły. Północ wybiła. „Niech dają wieszczę,“ zawołał na służbę gospodarz. W tém wszedł do pokoju kamerdyner, donosząc, że kucharz dostał gwałtownej cholery, a przed godziną umarła kupcowa w tymże samym domu mieszkająca. Zerwano się z miejsca, zapomniano o wieszczce, twarze pobladły, serca gwałtownie bić zaczęły; odezwał się w nich uczucie ludzkości? Niestety pono przestrah przytłumił wszelkie inne uczucia! Wnet goście się rozje-

chali; a tam, gdzie przed chwilą panowała wesołość, kędy przed chwilą słyszano muzykę i śpiewy, śmierć rozpostarła swe skrzydła.

Jeżeli byli tacy, którzy w zabawach i roztargnieniach, zapomnienia, odurzenia, że tak powiem, szukali, byli i tacy, którzy mărząc o zapobieżeniu, zaradzeniu złemu, szlachetniejszym w prawdzie sposobem, ale do tego samego celu zmierzali.

W gronie kilku przyjaciół hrabia Hilary obchodził imieniny przyjaciela swojego, pana radcy. Po obiedzie, na którym ani ryby, ani owoców, ani kremów, ani lodów nie było, a zdrowie solenizanta spełniano doskonałym czerwonym winem, zastępującym z rozkazu lekarzy burzliwego szampana; w obszernym pokoju zebrani goście w wygodnych krzesłach palili antycholeryczne cygara. Kłęby dymu wznosiły się w górę; rozmowa jednak nie przybierała barwy wesołości, gdyż jēj nieustającym przedmiotem była grasująca zaraza. Jedni obliczali ofiary, drudzy przytaczali liczne przykłady prawdziwego chrześcijańskiego poświęcenia się; ci o zaradczych środkach napomykali, tamci zastanawiali się nad naturą choroby, nad sposobami jēj leczenia. Tymczasem w szklankach roznoszono doskonałego Lafitta, głowy się zagrzewały, mnożyły pomysły, smutne obrazy znikwały z oczu, wracała nadzieja! Różniły się zdania o cholercze; ktoś utrzymywał, że zarówno jak morową zarazę epidemiczną, dostać jēj można za dotknięciem; inny ją andemiczną nazywał, idzie z powietrzem, dostaje się za wciągnięciem w siebie zarażonego wyziewu. Przytaczano rozmaite dzieła, tyczące się tēj straszliwej plagi. Ten był za sposobem leczenia używanym w Indyi, tamten nie odstępował Raspaila z kamforą, ów trzymał się Angielskich lekarzy i kalomel radził; gospodarz domu przytaczał dzieło

Amerikanina Koffina, i cudowne przykłady wyleczenia za pomocą pieprzu Kajenny. Młody baron Kurlandczyk, oddający się jako amator *con amore* medycynie, dowodził, że cholera pochodzi z robaków wciskających się do środka ciała, i że całe jej leczenie: wyprowadzenie ich na zewnątrz. Hrabia nie był za wyprowadzeniem robaków z ciała, ale za zniszczeniem ich w samym zarodku. Pani S. była za sympatycznymi sposobami, przepuszczała nawet zamawianie.

„Wzbudzenie potów przedewszystkiém, wołał baron, i to za pomocą infuzji z krwawniku.“ „Mięta, sól, węgiel brzożowy z oliwą, kajenna;“ wołał hrabia. „Pigułki z kamfory!“ wołał ktoś trzeci. „Magnetyzm, blaszki galwaniczne!“ wołała pani S. „Używanie wina czerwonego za napój zwyczajny!“ wołali wszyscy. Co usłyszawszy radzca, nalał sobie wypróżnioną szklanę Lafittem, potakując wszystkim i wszystkiemu, byleby cholera ustała.

„Moi panowie! rzekł nakoniec hrabia, strzeżonego pan Bóg strzeże, tak niesie dawne przysłowie; trzymajmy się go, bo dawniej lepsze bywały czasy, cholery nie znano. Wszystko od prezerwatywy zawisło; gdybyśmy się wystrzegali owoców, wszelkich surowizn, gdyby ryb nie jedli, gdybyśmy zbytku w pokarmach i napojach nie robili, gdybyśmy wstrzemięźliwie żyli; cholera nie mając się do czego przyczepić, nie zatrzymałaby się u nas, poszłaby dalej. Z tego wypływa, iż cholera tam się tylko czepi, gdzie jej powód dają; gdyby powodu nie było, nie byłoby cholery, azatém nie dając powodów, śmiało wyrzec możemy, że nie masz cholery!“ Nie masz cholery! powtórzyli wszyscy; a ponieważ późna była pora, wypiwszy jeszcze po szklaneczce wina, rozeszli się z dobrym rezonem.

Pan radzca jeden z ostatnich zstępował ze schodów, powtarzając wesoło: „nie masz cholery, nie masz cholery!“ Wycho-
dząc z bramy, na ulicy co tylko potrąconym nie został przez
ludzi niosących coś na tragach. „Co niesiecie?“ zapytał; „cho-
lerycznego do szpitalu.“ Pan radzca czémprędzej powracał do
domu, już nie powtarzał: nie masz cholery; a gdy do siebie miał
wchodzić, z tego samego domu wynoszono trupa. W mgnieniu
oka już był na pierwszym piętrze i wpadł do swego pokoju,
wołając: „skłamali, skłamali, jest cholera!“ „Gdzie?“ zapytała
pani radczyni, z niecierpliwością oczekująca męża. „W War-
szawie!“ Pan radzca najgorszą noc przepędził, przerażające sny
go trapiły. Obudził się jednak na zajutrz w dobrém zdrowiu,
a gdy sobie wczorajszą przypomniał rozmowę: „i pan doktor
Weinberg, rzekł sam do siebie, powiedział przed kilkunastu laty:
nie masz hemoroidów! a jednak są niestety!“

Minął miesiąc Lipiec, za nim Sierpień miał się ku końcowi,
a cholera dziesiątkowała jeszcze mieszkańców miasta Warszawy.
Już wszelkie sposoby ratunku wyczerpano, już rady dać nie
można było; cała nadzieja w miłosierdziu boskiém! Ale złe trwać
ciągle nie może, na koniec minąć musi. Nastąpiło, acz późno, oczeki-
wane przesilenie. Przechodzący przez ogród saski usłyszeli
śpiew ptaszka na drzewie, było powrót gołębiczy do arki Noego.
Przebrana miara boleści, kara za grzechy dopełniona, Bóg się
zlitował nad ludem swoim! Pałace słońce skryło się po za chmu-
rami, upragniony dészcz spiekłą ziemię odwilżył; wiatr wscho-
dowy odświeżył powietrze, okropna plaga ustała!

Dziękczynne odprawiają się modły; kadzidła w górę się
wznoszą; sieroty i wdowy modlą się za umarłych; święte przy-

bytki przepelnione ludem; chrześciance się do ółtarzy cisną, nad ółtarzem wznosi się krzyż, znak odkupienia, a nad całém miastem tęcza błysnęła na niebie!

„Na wielkiej i rozciągłej płaszczyźnie, kędy rzeka Warta wychodząc z ziemi Krakowskiej, płynie wązkim jeszcze korytem ku wielkiej Polsce dla połączenia się z Odrą, stoi u podnoża samotnej góry małe miasto murowane, z dawień dawna w dziejach wspomiane a od pięciu wieków, nie swoją zasługą, lecz świątynią Bogarodzicy na owęj górze zbudowaną wslawione ¹⁾).

Tu na tój wyniosłości, zwanęj Jasną Górą, zkąd widok na daleką rozciąga się okolicę, pod samém miastem Częstochową, w roku 1382., cudowny obraz Bogarodzicy, Władysław książę Opolski, udzielny pan Rusi, z Belzkiego zamku przeniósł, i w wybudowanęj na ten cel kaplicy z drzewa, umieścił. Sprowadziwszy potem z Węgier słynący tam ze swęj pobożności zakon pustelnicy świętego Pawła, i hojnym opatrzywszy funduszem, jego pieczy i nabożeństwu kaplicę i obraz powierzył.

„Podanie niesie, że obraz ten za życia Najświętszëj Panny, święty Łukasz ewangelista malował na desce od stolika cyprysowego, przy którym Matka Boska się modliła, mieszkając w domu świętego Jana w Jerozolimie. Zachowany od zagłady podczas zburzenia Jerozolimy przez Tytusa, miał być w roku 320 od cesarzowej greckiej Heleny wzięty do Konstantynopola, i tam wpośród przesładowania obrazobórców pod cesarzem Leonem

¹⁾ Pielgrzymka do Jasnęj Góry w Częstochowie przez Michała Balińskiego.

Izaurjańskim wszczętego, ocalony został przez jego żonę Irenę. Następca na tron cesarski Nicefor, po jej wygnaniu, szukając przyjaźni z Karolem wielkim, podczas uroczystych swych poselstw w 803. i 810. roku, miał między innymi darami i relikwiami, ofiarować Karolowi wielkiemu i ten obraz, tak szczęśliwie dotąd w stolicy Greekiój chroniony.“

Wszystkie te relikwie cesarz Karol złożył w stolicy swojej w Akwisgranie, a jeden tylko obraz ten biorąc z sobą na wyprawy wojenne, miał nakoniec darować jakiemuś księżęciu Sławiańskiemu, który go w wojnie przeciwko Saracenom posiłkował. Książę otrzymawszy pożądaną obraz, ozdobił go drogiemi kamieniami i w blachę srebrną oprawił, na zamku Bełzkim złożył, gdzie przez długie czasy, pomimo różnych zmian i napaści nieprzyjaciół zostawał.“

„Po długich zatargach pomiędzy Władysławem księżęciem Opolskim, dziedzicznym panem Lwowa, a Jerzym księżęciem Bełzkim, gdy nastąpiło pomiędzy nimi przymierze, obraz Boga Rodzicy na zamku Bełzkim utrzymywany a pochodzeniem swém i cudami słynny, wzięty został przez Władysława, naprzód pono do Lwowa, a ztamtąd przy ustąpieniu tego miasta i ziemi Ruskiej wywieziony do Częstochowy.“ ¹⁾

Odtąd miejsce to sławne na całą Sławiańszczyznę, obdarzone relikwiami świętych, i opatrzone zupełnemi odpustami przez papieżów, obsypane hojnemi upomienkami i bogactwy przez monarchów, książąt i panów, coraz to okazalsze, ozdobniejsze przywdziewało szaty. Skromna początkowa budowla zamieniła się

¹⁾ Częstochowa M. Balińskiego.

w spaniałą świątynią, obok niej powstała kaplica przyozdobiona z przepychem, a w niej cudowny obraz złożonym został.

Jasną Górę opasano murem, wzmocniono basztami, zabezpieczono obroną, wzbily się w niebo wysunęte wieżycy, a na najwyższej z nich ujrzało święty znak krzyża, znak odkupienia rodu ludzkiego!

Częstochowa od pięciu wieków oparła się burzom, przetrwała odmienne losu koleje. Niedotknęła jej świętokradzka ręka, nie zniszczyło barbarzyństwo, nienaruszyła cheiwość łupiestwa, umiały ją szanować pokolenia następujące po pokoleniach, a czas wszystko trawiący oszczędzał.

U stóp ołtarza Boga Rodzicy, królowie idąc walczyć przeciwko nieprzyjaciolom wiary i ojczyzny, odbierali błogosławieństwo, a po odniesionych zwycięstwach, zdobyte łupy i dziękczynienia składali. Tutaj Władysław Jagiełło, idąc poskromić dumny zakon krzyżacki, korzył się przed majestatem Boskim. Tutaj pobożna Jadwiga nieraz gorące modły wznosiła do nieba! Tu Kazimierz Jagiellończyk, w sędziwym już wieku, z żoną Elżbietą, i z całym potomstwem odbywał pielgrzymkę. Tu Zygmunt stary, za kraj się modlił; Zygmunt August szukał pociechy, Stefan Batory nabierał ducha i hartu. Tu Skarga opowiadał słowo Boże; tu z krzyżem w rękę, a z wiarą i ufnością w sercu ksiądz Augustyn Kordecki oparł się Szwedzkiej przemocy. Tu Jan III. zdobyte pod Wiedniem na muzułmanach sztandary zawieszał. Tu po dwa razy odbywała się uroczystość koronacji Matki Boskiej w obec kilkukroć-stotysięcy zgromadzonego ludy, opatrzona bullą papieską, i odpustem powszechnym. ¹⁾

¹⁾ Pierwsza koronacja odbyła się 1717. roku, druga 1818.

Minęły wieki, runęły państwa, pokolenia po pokoleniach znikwały, a skarbiec Częstochowski, szanowany, nietknięty, świadczy o pobożności i szczodropliwości królów i przodków naszych. Pielgrzymkę odbywający pątnik, dotąd w nim znajdzie, obok szczeru-złotój, drogiemi kamieniami wysadzanój monstrancyi, z owym nadzwyczajnej wielkością dyamentem rodziny Przerębskich ¹⁾ krucyfix złoty z odrobiną drzewa z krzyża świętego, dar Zygmunta I., a na nim 1542 rok wryty. Obok kielicha srebrnego w korالowej oprawie, daru Michała Korybuta króla, kielich szczeru-złoty z porcelanowym spodem, ofiarowany przez Augusta III.; znajdzie złote i srebrne kielichy, bogate monstrancye, relikwiarze, krzyże, lichtarze, różańce; tam znajdzie obok sukienki Matki Boskiej całej dyamentami okrytej, obok kapy, kędy z pod Uryańskich pereł, zaledwo aksamitne tło dostrzedz można; skromniejszy ornat, jedwabiem i perłami przerabiany, ale uświęcony kilku wiekami, szyty własną ręką, i nieraz może skropiony łzą królowej Jadwigi. Tam przechowują krzesło kością słoniową wyrabiane misternie, na nióm siedząc niegdyś Kazimierz wielki, przemyślał może nad prawami, nadać się mającemi Polsce, przemyślał nad szczęściem tych chłopków, których królem tak słusznie nazwanym został. Tam przechowują ołtarzyk z hebanu i srebra, przed którym święty Kazimierz król Polski się modlił. Miecz Batorego, w jego rękę tak groźny; bogatą pochwę owój szabli Jana Sobieskiego, przed ostrzem której muzułmanie truchleli, i chorągwie na muzułmanach zdobyte,

¹⁾ Dyament wzięty z pierścienia przekazanego testamentem przez Zygmunta Przerembskiego, wojewodę Sieradzkiego do ołtarza Matki Boskiej w Częstochowie, wartości 230,000 złotych.

i wzięty przez niego w namiocie wielkiego wezyra, zegar bronzowy, na którym ostatnia godzina Wiednia wybić miała. Tam przechowyją Stanisława Rewery, i Józefa Potockich, Kalinowskiego, Lubomierskiego, Jabłonowskiego, buławy, obok pielgrzymiego kija Radziwiłła Sierotki; tam hojne ofiary obok najdroższych pamiątek, tam przeszłość i dzieje, uświęcone wiarą!

Nie tak sere nie porusza, jak miejsca cudami wstawione, osłonię pomroką wieków! Wieleż tu łez się wylało, wieleż prośb i westchnień wzniosło do nieba! wieleż tu łask z nieba spłynęło na ziemię!

W oktawę wniebowzięcia Najświętszej Panny, w Częstochowie, zakończono tygodniowe solenne nabożeństwo. Kompanie pobożnych pielgrzymów opuszczały Jasną Górę, a każdy z wiernych powracał w rodzinne strony, wzmocniony słowem Bożem, pocieszony nadzieją! Słońce już zachodziło; jeszcze spostrzegano niknące w oddaleniu chorągwie, jeszcze słyszano rozlegające się w przestrzeni pieśni!

W kaplicy Bogarodzicy niepewne światło drgało w owęj wyrabianęj ze srebra lampie, zawieszonęj u sklepień przybytku ręką Jana III.; kościół był prawie pusty, panowało milczenie przerywane czasami głębokięm westchnieniem, albo li stąpieniem po marmurowęj posadzce zwolna opuszczających świątynię.

U stóp ołtarza Marya i Czesław z dziećmi, gorące zanosili modły. Uratowani od grożącęj burzy światowych pokus, ochronieni od strasznej zarazy, mieli za co dziękować, prosili Boga o przedłużenie domowego szczęścia! Po niejakim czasie, powstawszy z miejsca, już mieli wychodzić, kiedy ostatni promień zachodzącego słońca raz jeszcze wizerunek matki zbawiciela oświe-

cił, poczem zawiśł na chwilę nad niemi, jak przebaczenie, łaska, błogosławieństwo.

„Cóż się stało z Maryą, zapytała dnia pewnego pani Emilia wchodzącego do salonu prezesa; od niejakięgo czasu zniknęła znowu z horyzontu naszego, już jęj nikt nie widzi? “

„Marya, odpowiedział prezes, jest to romansowa głowa, musiała sobie przypomnieć, co przed kilkunasty laty Balzac powiedział:

La femme heureuse ne va pas dans le monde.“



